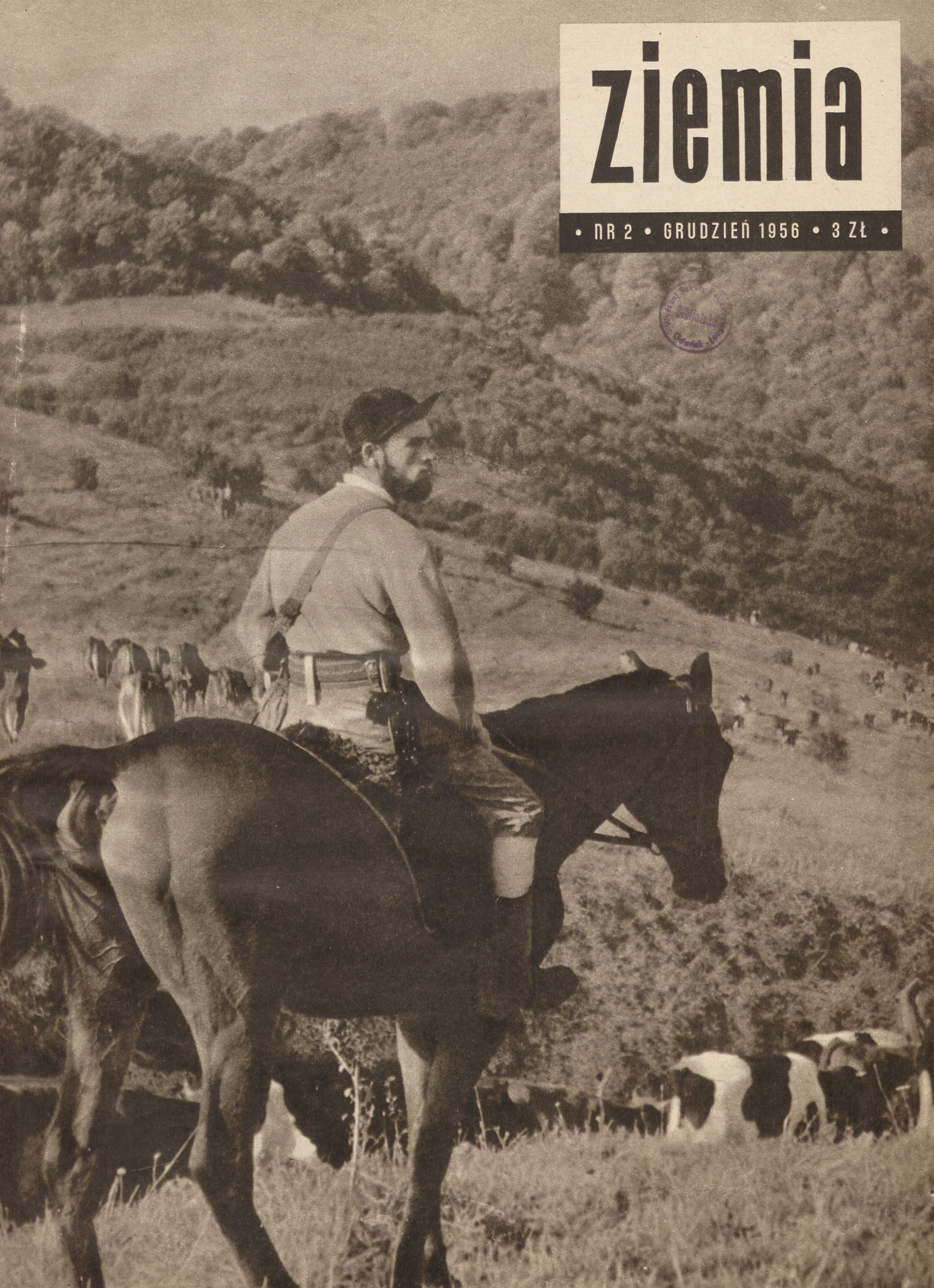


# ziemia

• NR 2 • GRUDZIEŃ 1956 • 3 ZŁ •



przedstawia moment, gdy w dolinę Sanu schodzi stado bydła wypasane corocznie w Bieszczadach od wiosny do zimy. Na stronach 16 i 17 zamieszczamy reportaże o pracy tamtejszych pasterzy.



W następnym numerze m. in.:

O zbójnickich skarbach  
Nietoperze  
„Sieteskie droby“  
Architektura miast fabrycznych  
Dawne poczty polskie  
Nowotarskie historie  
Łuk triumfalny

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę „Ziemi“ przyjmują urzędy pocztowe i listonosze.

Institucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których znajdują się oddziały względnie delegatury „Ruchu“ — zamawiają prenumeratę w tychże jednostkach „Ruchu“.

Institucje centralne zamawiające prenumeratę dla podległych im jednostek terenowych w skali krajowej, jak również osoby prenumerujące czasopismo indywidualnie, kierują zamówienia i przedpłaty do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch“ w Warszawie ul. Srebrna 12, konto PKO I-6-100020.

Cena w prenumeracie:  
kwartalnie zł 9.—  
półrocznie zł 18.—  
rocznie zł 36.—

Termin zgłaszania przedpłat: do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Zlecenie na wysyłkę wydawnictw polskich za granicę przyjmuje Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch“ — Warszawa, ul. Wilcza 46.

Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch“, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej w Warszawie, ul. Srebrna 12.

**ZIEMIA — ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY**, organ Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zastępca redaktora naczelnego — JANUSZ GRZYBOWSKI, redaktorzy działowi — LESZEK DZIĘGIEL i MARIAN KORNECKI, układ graficzny — JANUSZ MILEWICZ. Tymczasowy adres redakcji: pl. Wiosny Ludów 8, Kraków, tel. 571-04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Nakład: 18 000 egz. Papier rotografiurowy 70 g. Cena zł 3.—. Zam. nr 826/56. M-7-5770 Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Pomost, przy którym drzemie zwykle łódka w oczekiwaniu na chętnych przepłynięcia jeziora, zastawiony był sporymi skrzynkami, kilka osób ładowało do łodzi drabinkę, jakieś sznury i nie dające się rozpoznać z daleka tajemnicze drobiazgi, a na płocie ogradzającym morenę suszyły się cieliste kombinezony.

Było to w ubiegłym roku, w połowie października. Piękna pogoda ściągała jeszcze w Tatry nielicznych turystów. Grupki osób wysypujące się z autobusu przy starym schronisku nad Morskim Okiem jak zwykle kierowały się na morenę<sup>1</sup>, by z tego wzniesienia ogarnąć spojrzeniem staw i szczyty w złotej, jesiennej oprawie. I tu od razu budził zaciekawienie niezwykle jak na Tatry widok. Ten dziwny sprzęt — to sprowadzone niedawno do Polski kostiumy nurkowe nowego typu, a ludzie — to garstka zapaleńców pragnących sprawdzić możliwości zastosowania tego sprzętu w badaniach naukowych<sup>2</sup>.

warstwą delikatnego osadu, który przy gwałtowniejszym ruchu płetw łatwo unosił się w górę mącąc wodę. Na głębokości 10 m kamienie stanowią już zaledwie około 1/3 powierzchni dna, dalej sterczą tylko miejscami i wreszcie nikną całkowicie w warstwie delikatnego, puszystego osadu. Nie przypomina on zupełnie mułu gromadzącego się na dnie żyznych jezior niżowych, chociaż pochodzenie jego jest podobne: dają mu początek głównie martwe szczątki organizmów żyjących w wodzie i cząstki mineralne, splukiwane z otoczenia. W jeziorach tatrzańskich jednak głodowe warunki życia ograniczają bardzo silnie rozwój roślin i zwierząt, a ich szczątki szybko się rozkładają i mineralizują dzięki dobrze natlenionej wodzie. W jeziorach niżowych natomiast muł zawiera bardzo dużo szczątków organicznych, które ulegają powolnemu gniciu wobec małej na ogół ilości tlenu w wodzie, a zwłaszcza przy dnie.

nia się nurka. Nie znaczy to jednak, by poniżej tej głębokości światło zupełnie już w wodzie nikło. Nurek stwierdził, że dopiero na 27 metrach głębokości było prawie zupełnie ciemno, że musiał zbliżyć twarz do samego dna, by rozpoznać jego szczegóły. Ta nadzwyczajna przezroczystość wody, wywołana bardzo małą ilością zawieszin, jest właściwa wszystkim jeziorom typu alpejskiego. Spróbujcie natomiast spojrzeć w głąb wody w jeziorach mazurskich: silnie rozwinięty plankton<sup>3</sup> pozwoli sięgnąć wzrokiem w najlepszym przypadku do kilku zaledwie metrów głębokości.

Do siatki wciąganej na linie do łodzi zbierał nurek kamienie z dna z rozmaitych głębokości. Wraz z kamieniami wydobywał przyczepiające się do nich zwierzęta i rośliny. Dotychczasowe wiadomości o organizmach występujących w jeziorach tatrzańskich są jeszcze bardzo szczupłe i na ogół oparte na dorywczych

## NURKOWIE W MORSKIM OKU Jadwiga Siemińska

Dwuczęściowe, lekkie, elastyczne skafandry, wykonane z piankowej gumy, chronią nurka w znacznym stopniu od zimna, a płetwy przyczepiane do stóp umożliwiają swobodne poruszanie się w wodzie i wykonywanie różnych czynności rękami. Dzięki oszklonej masce okrywającej nos i oczy można wygodnie obserwować otoczenie. Butle umocowane na plecach zawierają sprężone powietrze, które zapewnia nurkowi możliwość oddychania pod wodą; zawartość jednej butli wystarcza na około godzinny pobyt pod powierzchnią. Ciężarki z ołowiu przyczepione do pasa pozwalają nie tylko na opuszczanie się w głąb wody, ale także na swobodne pływanie. Zapięty na ręce powietrzny manometr głębokościowy określa niezawodnie głębokość, na jakiej się nurek znajduje.

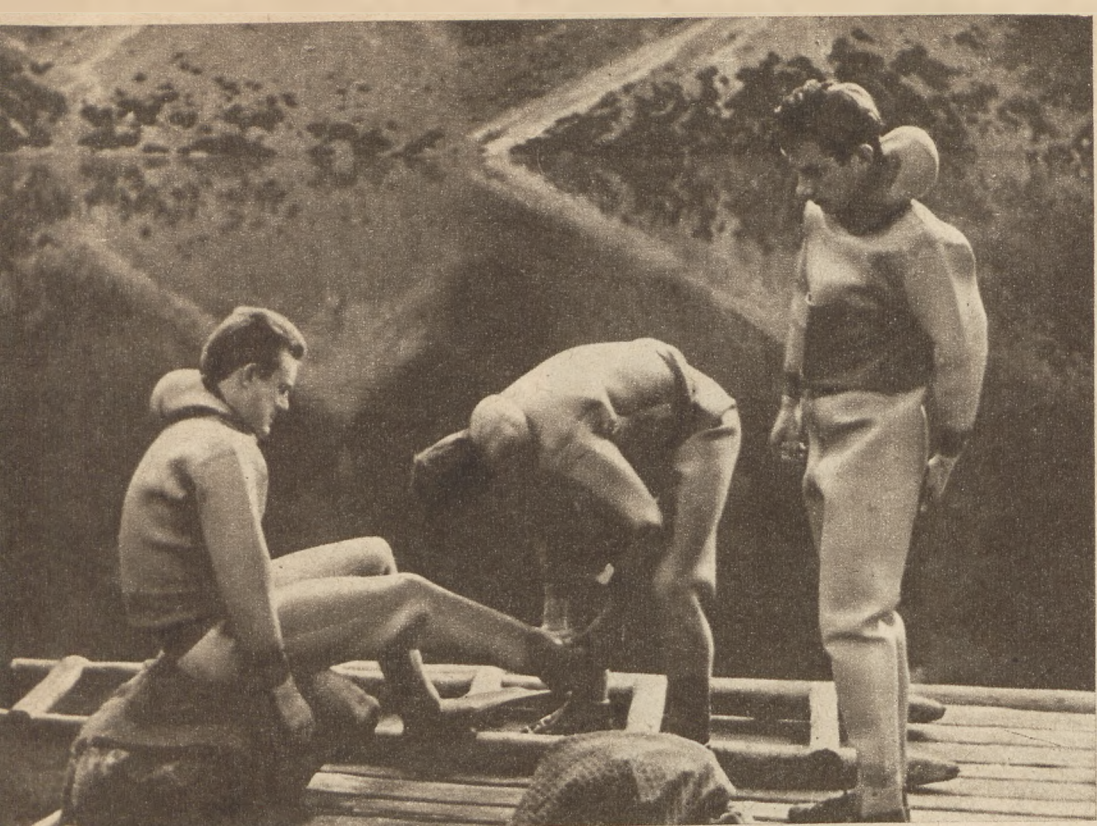
Każdy, kto płynął łódką przez Morskie Oko, przypomina sobie, jak wyraźnie widać dno przez kryształowo przezroczystą, szmaragdową wodę. Dno zalegają tutaj kamienie i olbrzymie bloki skalne; płynąc pomiędzy nimi nurek musiał uważać, by nie uszkodzić skafandra na ich ostrych, zupełnie nie obtoczonych krawędziach. W miarę przesuwania się w głąb spostrzegał, że są one pokryte coraz grubszą

Lodowato zimna woda nie pozwalała nurkowi przebywać zbyt długo pod powierzchnią: marzła nie osłonięta część twarzy i gołe dłonie. Nieco wody wciskało się do wnętrza kostiumu. Bez skafandra pływanie w Morskim Oku o tej porze roku byłoby prawie niemożliwe. Przecież nawet w czasie upalnego lata tylko nieliczni wytrzymują tutaj dłuższą kąpiel, a co dopiero w jesieni. W większości stawów tatrzańskich ogrzewa się w lecie tylko płytka powierzchniowa warstwa wody, dochodząc nie zawsze do kilkunastu stopni ciepła. Głębiej temperatura gwałtownie spada aż do 4°C. Nie trzeba też zapominać, że z końcem października lub w ciągu listopada Morskie Oko pokrywa się już zwykle lodem, a odmarza dopiero w maju lub w czerwcu. Jest to konsekwencja surowego klimatu tatrzańskiego.

W czasie kolejnych zanurzeń nurek osiągał coraz to większą głębokość, a siedzący w łodzi śledzili jego ruchy. Do głębokości 10 m widzieli wyraźnie rys ciała posuwającego się nad dnem, przy 15 metrach majaczyła jeszcze jasna plama kostiumu, znikająca, gdy nurek zszedł głębiej. Wtedy już tylko kłęby baniek zużytego powietrza znaczyły srebrzystymi, pionowymi smugami i bulgotaniem kierunek posuwa-

badaniach. Mamy więc nieco wiadomości o rybach i o organizmach występujących w płytkich partiach przybrzeżnych. Znajdzie się także trochę uwag o planktonie, który można wyłowić gęstymi jedwabnymi siatkami, i trochę wiadomości o organizmach (czyli ich szczątkach) występujących w delikatnych osadach dennych, bo te dają się łatwo zebrać specjalnymi czerpakami lub prostym zmaczeniem wody. Wyciągnięcie jednak kamieni napotykało zawsze duże trudności: znaczne głębokości i nadzwyczaj zimna woda nie zachęcały do zarywania się w niej, a przyrzucane z łodzi narażone były na zaczepienie się o dno. Nurek zresztą także miewał kłopoty, nieraz usiłował podnieść jakiś interesujący kamień, który w miarę odsłaniania go z otaczającego mułu okazywał się ledwo wystającym olbrzymim blokiem skalnym.

Wyciągnięte kamienie dostarczyły wielu informacji o pionowym rozmieszczeniu organizmów prowadzących osiadły tryb życia. Na niektórych kamieniach np. dały się zauważyć barwne, galaretowate skupienia utworzone przez glony<sup>4</sup>. Ciekawa rzecz, że jeszcze na głębokości 14 m sku-



↑ Trzech krakowskich grotolazów przygotowuje się do nurkowania — przywdziewają ochronne stroje z piankowej gumy

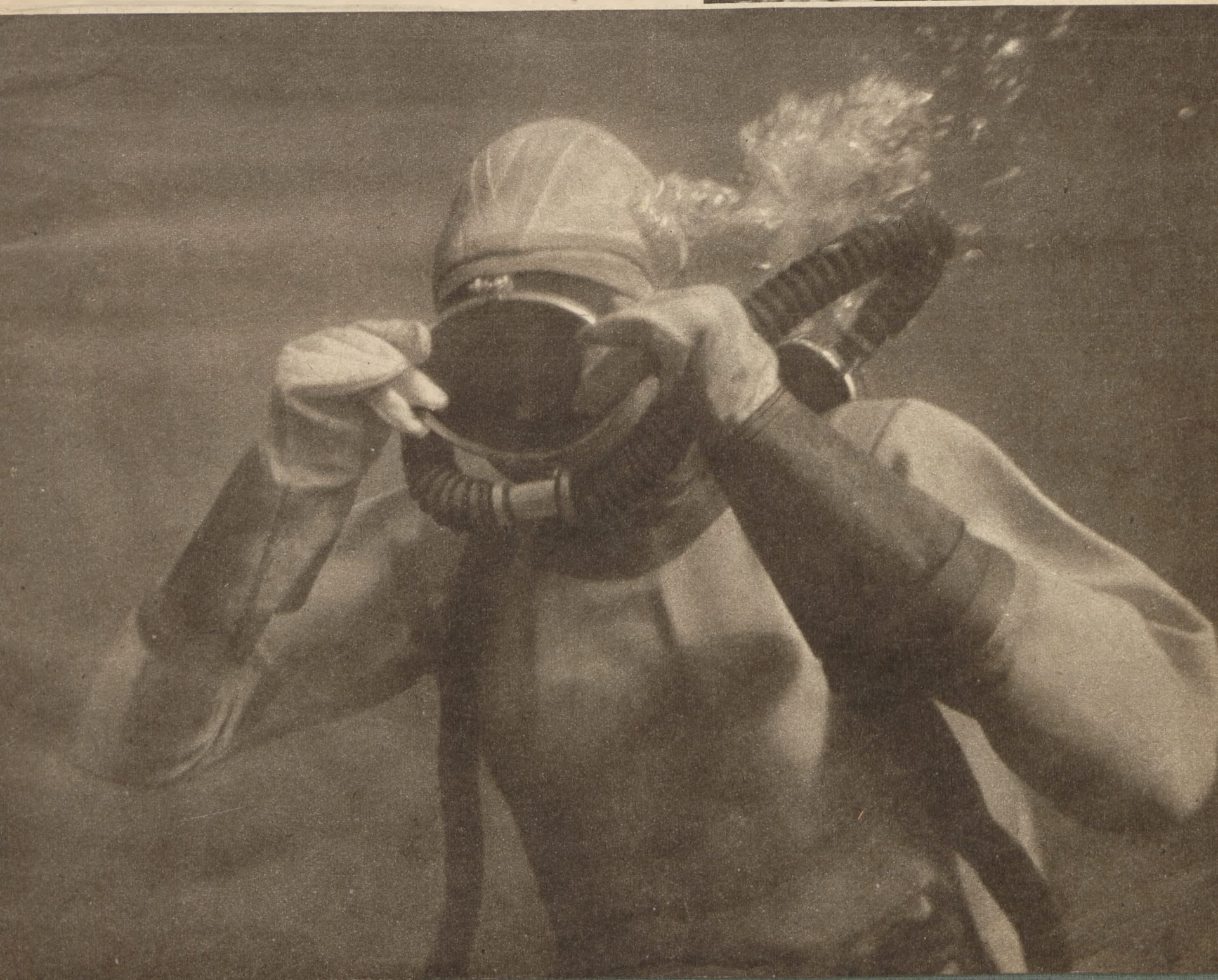
Fot. W. Tomasziewicz

↓ Dzięki masce nurek może dogodnie prowadzić obserwacje dna jeziora i wybierać okazy kamieni

Fot. W. Zubrzycki

→ Nurkowie gotowi do zanurzenia się — na plecach stalowe butle z zapasem powietrza sprężonego do 150 atmosfer

Fot. W. Tomasziewicz





pienia te miały barwę szarzieloną, na głębokości 20 m — brudną, a na 27 m — brudnoczerwoną. Życie glonów jak i większości roślin związane jest bardzo ściśle z obecnością światła. Gruba warstwa wody niejednokrotnie pochłania różne promienie składowe światła słonecznego: woda najsilniej absorbuje promienie czerwone i fioletowe, najgłębiej przepuszcza natomiast promienie żółte i zielone. W związku z tym glony żyjące na różnych głębokościach muszą posiadać rozmaite barwy dopełniające, które ułatwiają pochłanianie promieni najobficiej występujących w danej warstwie wody.

Nie można było jednak pokusić się o dotarcie do najgłębszych miejsc jeziora, opadających do 53,5 m poniżej lustra wody. Wytrawny nurek towarzyszący ekipie osiągnął dno na wspomnianej już głębokości 27 metrów, stwierdzając, że na taką głębokość nie opuścił się dotąd w tym kostiumie nawet w morzu w Sopocie. Inni członkowie ekipy, nurkując w takim ubiorze po raz pierwszy, nie mogli ryzykować opuszczenia się zbyt głęboko. Stwierdzili jednak zgodnie, że łatwość poruszania się w nim w wodzie jest nadzwyczajna i pozwala na swobodną obserwację otaczającej przestrzeni, dostarczając przy tym różnych, niezapomnianych wrażeń. Nowa technika nurkowania zdobyła sobie już w innych krajach licznych zwolenników i znalazła rozmaite zastosowanie, jako wygodna i łatwa do opanowania nie tylko dla nurków zawodowych. Dzięki niej wnętrza mórz, jezior i



↑ Płetwy umożliwiają pływanie pod wodą w dowolnym kierunku

Fot. W. Tomaszkiwicz

← Dno Morskiego Oka składa się z bloków skalnych i gruzu

Fot. W. Zubrzycki

↓ Od lewej — nurek wydobyl na powierzchnię kamień pokryty algami

Fot. W. Tomaszkiwicz

↓ Od prawej — praca zakończona, instruktor W. Zubrzycki pomaga nurkowi przy wejściu do łodzi

Fot. J. Siemińska



Już w XVIII wieku Stanisław Staszic zwrócił uwagę na spotykane w Górach Świętokrzyskich masy żelaznego żużlu. Żużel występuje płytko, tuż pod warstwą ziemi ornej. Pełno go między rzeką Kamienną a północnym zboczem Łysogór i Gór Jeleńskich. A wszędzie, gdzie leży żużel, tam „ziemia jest czarna“ i tkwi w niej węgiel drzewny.

To ślady starożytnego hutnictwa. Żużel żelazny jest produktem odpadkowym, powstałym przy wytopie żelaza z rudy. Charakter żużlu różny jest w zależności od techniki i warunków, w jakich odbywał się wytop. Z żużlem jest podobnie jak z dawną ceramiką, która pozwala archeologowi określić, z jakiego czasu pochodzi i z jaką się wiąże kulturą. Znajdowany żużel archeolog może najogólniej odnieść do poszczególnych technik metalurgicznych charakterystycznych dla minionych okresów.

Żużel świętokrzyski świadczy o bardzo prymitywnej technice hutniczej. Jest porowaty. Puste miejsca w bryłach żużlu — to odciski wypalonych później węgli drzewnych, a także skutek nieregularnego topienia się rudy i stygnięcia ładunku pieca. Najbardziej może typową jego cechą, charakteryzującą zresztą w ogóle tę prastarą technikę metalurgiczną, jest soplwatość. Sople na kształt zastygłych nacieków oble-

piają grubo powierzchnię brył żużlu. Ów bowiem znajdujący na polach starodawny żużel występuje najczęściej w kształcie walcowatych kłoców o średnicy około 40 cm, a wysokich na 30 do 40 cm. Dość powszechnie spotyka się kłocę z dolną częścią walcowatą i górną rozszerzającą się w kształcie grzyba. Badania chemiczne wykazały, że te kłocę, czyli — jak je miejscowa ludność zowie — „cebrzyki“, zawierają średnio 50% żelaza. Nic więc dziwnego, że w okresie międzywojennym huty w Starachowicach i Ostrowcu skupowały je do powtórnego przetopu. Dziesiątki ton żużlu utrudniającego orkę świętokrzyskim rolnikom wędrowało wtedy na wozach do hut. Niemniej do dnia dzisiejszego na drogach polnych i miedzach bardzo często spotyka się tu zwały kłoców. Żużel występuje ciągle.

W okresie międzywojennym interesowali się żużlem w Górach Świętokrzyskich prof. Jan Samsonowicz i prof. Mieczysław Radwan. Ten ostatni wysunął już wtedy przypuszczenie, że kłocę żużlu są śladem najstarszej techniki hutniczej na tych ziemiach i że można je odnieść do początków naszej ery. Ale do ostatnich czasów, poza ogromnymi ilościami odpadków żużlowych, nie znaleziono w tym regionie żadnych szczątków dawnych pieców hut-

nicznych, z których przecież ten żużel pochodzi. Wiązano więc tylko owe tajemnicze kłocę z żużlem pieców późnolateńskich, odkrytych w Siedleminie w powiecie jarocińskim, oraz z żużlem dymarek okresu rzymskiego, znalezionych w Igołomi pod Krakowem. Nie można jednak było nic pewnego powiedzieć o chronologii resztek starożytnego hutnictwa świętokrzyskiego.

Latem ubiegłego roku rozpoczęto w Górach Świętokrzyskich systematyczne badania archeologiczne. Podjęły je muzea: Archeologiczne w Krakowie, Świętokrzyskie w Kielcach i krakowscy metalurzy AGH z ramienia Komitetu Historii Nauki PAN. Celem tych zespołowych badań jest szczegółowa rejestracja wszystkich skupisk żużlu, odszukanie dawnych obiektów przemysłowych i związanie tej kolosalnej produkcji żelaza z jej właściwym okresem historycznym.

Już w jesieni 1955 roku uzyskano pierwsze pozytywne wyniki. W Kunowie, w pow. opatowskim, archeolodzy znaleźli 3 ziemne piece hutnicze. Znajdowały się one w profilu oberwanej ściany lessowej. Były to niewielkie, okrągłe jamy wykopane w ziemi, nieco rozszerzające się ku dołowi. Średnica płaskiego dna wynosiła około 30, a wylotu około 28 cm. Ściany tych prymitywnych pieców wylepione były

mieszaniną gliny, plew i drobno pociętej słomy. W dwu odkrytych piecach znajdował się jeszcze stopiony żużel, tak jak go pozostawił po wytopie hutnik. Okazało się więc, że każdy z tych powszechnie znajdujących kłoców żużlu jest pozostałością po jednym wytopie w piecu ziemnym. Najważniejszym jednak odkryciem była znaleziona w Kunowie obok pieców ceramika, która pozwoliła datować po raz pierwszy świętokrzyskie szczątki metalurgiczne na okres późnolateński, przechodzący we wczesnorzymski, a więc mniej więcej 2000 lat wstecz. To był dopiero początek wielkich odkryć.

Rozpoczęte w kwietniu 1956 roku próbne wykopaliska dały wszędzie zupełnie nieoczekiwane, wręcz sensacyjne wyniki.

Najpierw odkryto dawne składy kłoców żużlu. Było to w Rudkach koło Nowej Słupi. W czterech rzędach obok siebie stało 66 dużych kłoców, tak jak je ustawili po przyniesieniu z pieców dawni hutnicy. Wszystkie były ułożone jednakowo, gładszą, górną powierzchnią ku górze. Stały one w trzech skupiskach. Kłocę jednego ze skupisk odbiegały jakością od pozostałych. Były mniejsze i struktura ich była mniej zwarta. Kłoców było niegdyś więcej. Właściciel pola, na którym odkopano „magazyn“, opowiada, że jego ojciec w okre-

stawów stały się dostępne bezpośrednio obserwacji. Należy więc przypuszczać, że lekkie kostiumy nurkowe zostaną u nas dobrze wykorzystane przy badaniach nie tylko stawów tatrzańskich, ale jezior i morza.

<sup>1</sup> Morskie Oko, tak jak i inne jeziora tatrzańskie, wypełnia zagłębienie powstałe na skutek działalności lodowców. Kocioł Morskiego Oka zatarasowany jest dawną moreną czołową lodowca, tj. gruzem skalnym niesionym przez lodowiec i usypywanym w formie wału u jego czoła. Lodowiec tworzy także moreny boczne i dennne.

<sup>2</sup> W skład ekipy wchodził pracownik Instytutu Budownictwa Wodnego PAN, Instytutu Botaniki PAN oraz członek Sekcji Tatarnictwa Jaskiniowego PTTK.

<sup>3</sup> Plankton są to rośliny i zwierzęta mikroskopijnej wielkości unoszące się swobodnie w wodzie.

<sup>4</sup> Glony są to jedno- lub wielokomórkowe rośliny niższe, przystosowane do życia w wodzie.

Ekspedycja archeologiczna odsłania zgrupowanie starożytnych pieców hutniczych



się międzywojennym odwiózł do hut około 50 ton takiego żużlu, a jeden kloc waży przeciętnie 100 kg. Już sama ilość kłoców żużlu, z których przecież każdy jest pozostałością jednego wytopu, rzuca ciekawe światło na niezwykle rozmiary tej produkcji

Wśród lasów, na przełęczy między Górą Jeleniowską a Szczytniakiem, odkryto 13 pieców — pierwszy wielki zespół na tym terenie. Dalsze znaleziono o 3 km na północ, w Starej Słupi. Spod warstw ziemi ornej ukazało się 55 pieców. Jest to tylko

Poza układem pieców drugą nie rozwiązana dotychczas przez technologów zagadkę stanowi sama ich budowa. Dotychczas panował powszechny pogląd, że na dnie dawnego wkopanego w ziemię pieca hutniczego gromadziła się łupka wytopionego żelaza,

Znajdowana wśród pieców ceramika pozwala wszędzie datować ten ośrodek hutniczy na przełom naszej ery lub okres wczesnorzymski, a więc ten sam okres, w którym działały wielkie garncarnie odkryte w Igołomi pod Krakowem. Świętokrzy-



↑ Starożytny „magazyn“ kłoców żużłu



↑ Z prawej — piece z zawartością, z lewej — już rozkopane

hutniczej. Celowe i staranne zmagazynowanie kłoców, uważanych dotychczas wyłącznie za produkt odpadkowy, zmusza do innego nieco spojrzenia na to zagadnienie. Podobnie jak w Kunowie, tak i tu znaleziono wśród kłoców resztki ceramiki wczesnorzymskiego okresu.

Przed prowadzącymi tu akcję wykopaliskową archeologami stało obecnie zadanie odnalezienia w pobliżu „magazynu“ pieców hutniczych i osady dawnych hutników. Czy piece znajdowały się na terenie samej osady, czy też wybudowano je oddzielnie?

Frapujące odkrycie w Rudkach powiększyły niezwykle wyniki wykopalisk w rejonie Gór Jeleniowskich i Starej Słupi.

część piecowiska, gdyż reszty jego, ginącej w ścianie wykopu, nie odkopywano. Już sam ich układ stanowi zagadkę. Hutnicy zbudowali tu swe piece w dwu równoległych rzędach, po trzy obok siebie. Między oboma rzędami biegnie szersza przestrzeń. Być może, jest to ślad po dawnej ścieżce.

W tejże samej Starej Słupi, za ledwie w odległości około 150 m od poprzedniego piecowiska, łopaty odsłoniły 112 pieców, a o 100 metrów dalej następnych 149! I tu również układ pieców był bardzo regularny, choć nieco różny od poprzedniego. Zastosowano tu w zasadzie układ pieców nie trójkowy, lecz czwórkowy.

którą hutnik wydobywał po wytopie. Uchodziło również za pewnik, że w dolnej części tych pieców znajdowały się jakieś urządzenia doprowadzające do wnętrza powietrze z miechów lub naturalnego podmuchu wiatru. Tymczasem w żadnym z odkrytych pieców nie stwierdzono nawet śladu tego rodzaju urządzeń. Nie odkryto również nigdzie na ich dnie owej łupki wytopionego żelaza, jakkolwiek kłoc żużłu tkwiące w wielu piecach świadczyły, iż po skończeniu wytopu hutnicy ich nie opróżnili. Wszędzie na dnie w takich wypadkach znaleziono tylko warstwę węgla drzewnego. I tu więc uczeni stanęli wobec zagadki.

skie piece hutnicze stanowiły niewątpliwie jakiś zwarty, zorganizowany zespół metalurgiczny. Produkcja tej potężnej — jak na owe czasy i warunki — huty musiała być ogromna. Tak wielkiej huty z tej epoki nie znaleźli archeolodzy nigdzie. Dla kogo wytapiały rudę owe setki pieców w Górach Świętokrzyskich? Rozmiary huty pozwalają przypuszczać, że produkty jej mogły wówczas wystarczyć dla całej Europy.

Okazuje się, że pierwotne hutnictwo było o wiele bardziej skomplikowanym zagadnieniem, niż to dotychczas powszechnie sądzono.

Kazimierz Bielenin

## ZAGADKOWE ZNAKI

Stanisław Buratyński



Przedstawione na zdjęciu dno glinianego naczynia jest od spodu podzielone sześcioma liniami na siedem pasów (lub poziomów), w których są rozmieszczone zagadkowe znaki — punkty i trójkąty. Jest to typowe naczynie z okresu wczesnorzymskiego (od 0—200 n. e.). Wyodrębnione dno ma kolor czarny, powierzchnię wygładzoną i błyszczącą. Podobne naczynia na terenie naszych ziem występują często, nigdy jednak dotychczas nie znaleziono naczyń z podobnymi znakami.

W związku z budową Nowej Huty pod Krakowem, od roku 1950 prowadzi się na tych terenach prace archeologiczne o charakterze ratowniczym. Odkryto tu dotychczas 35 stanowisk archeologicznych z różnych epok i kultur, a z nich wydobyto ogromne ilości zabytków, w tym wiele bardzo rzadkich, a część — nieznanych dotychczas w ogóle. Do tych ostatnich należy właśnie owa dolna część gli-

nianego naczynia z zagadkowymi znakami na dnie. Znaleziono ją na stanowisku Wyciąże II. Być może, znaki te mają jakieś znaczenie magiczne lub jest to rodzaj nieznanego pisma. W każdym razie nie stanowią one ornamentu, dno bowiem naczynia pozostawało dla użytkownika niewidoczne.

Znamy z terenów Polski szereg rozmaitych znaków, które występują jednak tylko na bocznych ściankach naczyń. Ich znaczenie nie jest również wyjaśnione. Różnią się one jednak najzupełniej od znaków na dnie omawianego naczynia. Inny także charakter mają znaki runiczne znane z terenu naszych ziem oraz znaki na naczyniach celtyckich, znanych z niektórych stanowisk archeologicznych w Europie. Znaki na naczyniach wykonywano w Grecji, Rzymie i Etrurii. Może więc i nasze zagadkowe znaki powstały pod wpływem południa?

# BITWA POD OLIWĄ

Tadeusz Polak

W latach dwudziestych XVII wieku Szwedzi zaczęli coraz bardziej zagrażać bezpośrednio Polsce, która prawie od 1600 roku, z małymi przerwami, toczyła z nimi walki. Wyrosłe pod rządami Gustawa Adolfa na pierwszorzędną potęgę, państwo szwedzkie odepchnęło od Bałtyku Rosję oraz podbiło Inflanty, znajdujące się uprzednio w posiadaniu Rzeczypospolitej.

Gustaw Adolf obwieścił dumnie

wszem wobec, że Bałtyk jest morzem szwedzkim. Aby tak było w rzeczywistości, należało jeszcze tylko opanować południowe wybrzeża Bałtyku, należące do Polski. W tym celu 6 lipca 1626 roku 15 tysięcy doborowego żołnierza szwedzkiego na 140 transportowcach, chronionych przez 80 okrętów wojennych, przybiło do portu w Piławie w Prusach Książących.

Armia szwedzka posuwając się z ko-

lei na zachód wzdłuż wybrzeża rozbiła po drodze słabe oddziały polskie, zatrzymując się dopiero przed potężnie ufortyfikowanym Gdańskiem. Szwedzi zdołali jednak opanować Puck i Hel. Słaba armia polska na Pomorzu została pobita i odrzucona na południe. Sytuacja zmieniła się dopiero w roku 1627, kiedy obronę powierzono hetmanowi Koniecpolskiemu, który przybył na Pomorze w listopadzie 1626 ro-

ku z 4 tys. doborowego żołnierza. W kilka miesięcy armia szwedzka została zaryglowana w delcie Wisły i nie o podboju, ale o własnej obronie przyszło jej myśleć.

Do sukcesów armii lądowej pod Puckiem, a następnie pod Czarnem przyczyniła się niemała młoda polska flota wojenna, która szarpała flotę szwedzką, a w końcu stoczyła z nią zwycięską bitwę pod Oliwą 28 listopada 1627 roku.

Jest wczesny ranek 28 listopada 1627 roku. W Zatoce Gdańskiej stoją zakotwiczone okręty wojenne. Wiatr południowo-wschodni świszcze po masztach potężnych galeon spowitych gęstą mgłą morską. Cielska okrętów kołyszą się lekko z boku na bok. Zdawać by się mogło, że załogi ich śpią spokojnie. Tymczasem na pokładach przez całą noc panował ożywiony ruch. Rozkaz głównodowodzącego flotą polską admirała Dickmana postawił załogi od kilku dni w stan gotowości bojowej. Wszystko jest w pełni przygotowane do walki. Żagle i liny dokładnie sprawdzone. Przy działach pokładowych obsługa w duże skrzynie poukładała odliczone kule. Na górnych pokładach wzmocnione wachty wpatrzony w mroczną dal wypatrują nieprzyjaciela. Muszkiety, berdysze, szable i topory wyczyszczone błyszczą w rękach marynarzy, którzy się z nimi nie rozstają ani na chwilę.

Wśród pochodzących z nadbrzeżnych wsi kaszubskich starych wilków morskich, którym latami słońce i wiatry morskie smagały twarze i którzy już nie jeden raz wachali proch, zaczyna panować nastrój zniecierpliwienia. Chcieliby jak najprędzej znaleźć się znów w walce. Obok tych starych wygów, wielu młodych żółtodziobów, byłych czeladników, terminatorów, ładowaczy, woźniców, którzy puciekali od swych majstrów czy przedsiębiorców. Pochodzą oni z pomorskich miast: Gdańska, Elbląga czy Torunia.

Nie brakło wśród marynarskiej wiary również młodych chłopów pańszczyźnianych z Kujaw, Sandomierszczyzny czy Lubelszczyzny, którzy niedawno jeszcze Wisłą do Gdańska spławiali pańską pszenicę. Gdy jednak ogłoszono w Gdańsku zaciąg do nowobudu-



↑ Bitwa pod Oliwą wg współczesnej ryciny

jącej się floty królewskiej, porzucili w porcie szkuty z pszenicą i ochoczo zaciągnęli się do służby na wojennych okrętach królewskich. Gdy udało im się stopą dotknąć pokładu galeony, pinki czy innego okrętu, mogli się już śmiać z bezsilnej wściekłości swych panów i dziedziców. Okręty marynarki królewskiej to bo-

daj jedno z niewielu miejsc w Rzeczypospolitej, dokąd nie sięga władza magnatów i szlachty.

Wśród tych młodych zuchów nie było ani jednego, który by w ciągu toczącej się wojny ze Szwedami nie brał udziału w walkach. Teraz ze swymi starszymi kolegami czekali tylko rozkazu. Rozkaz jednak nie nadcho-

↓ Polska piechota morska z XVII w. wg modelu wykonanego przez Mieczysława Boczara w Krakowie



dził. Nastrój gotowości bojowej i wyczekiwania, trwający kilka dni, miał się jednak rychło zakończyć.

Wracająca o świcie 28 listopada z nocnego patrolu w Zatoce Gdańskiej najszybsza galeona polska „Król Dawid“ zameldowała admirałowi Dickmanowi, że flota szwedzka w szyku torowym (tj. jeden za drugim) płynie w kierunku zachodnich wybrzeży Zatoki Gdańskiej, aby najprawdopodobniej dokonać desantu na brzeg.

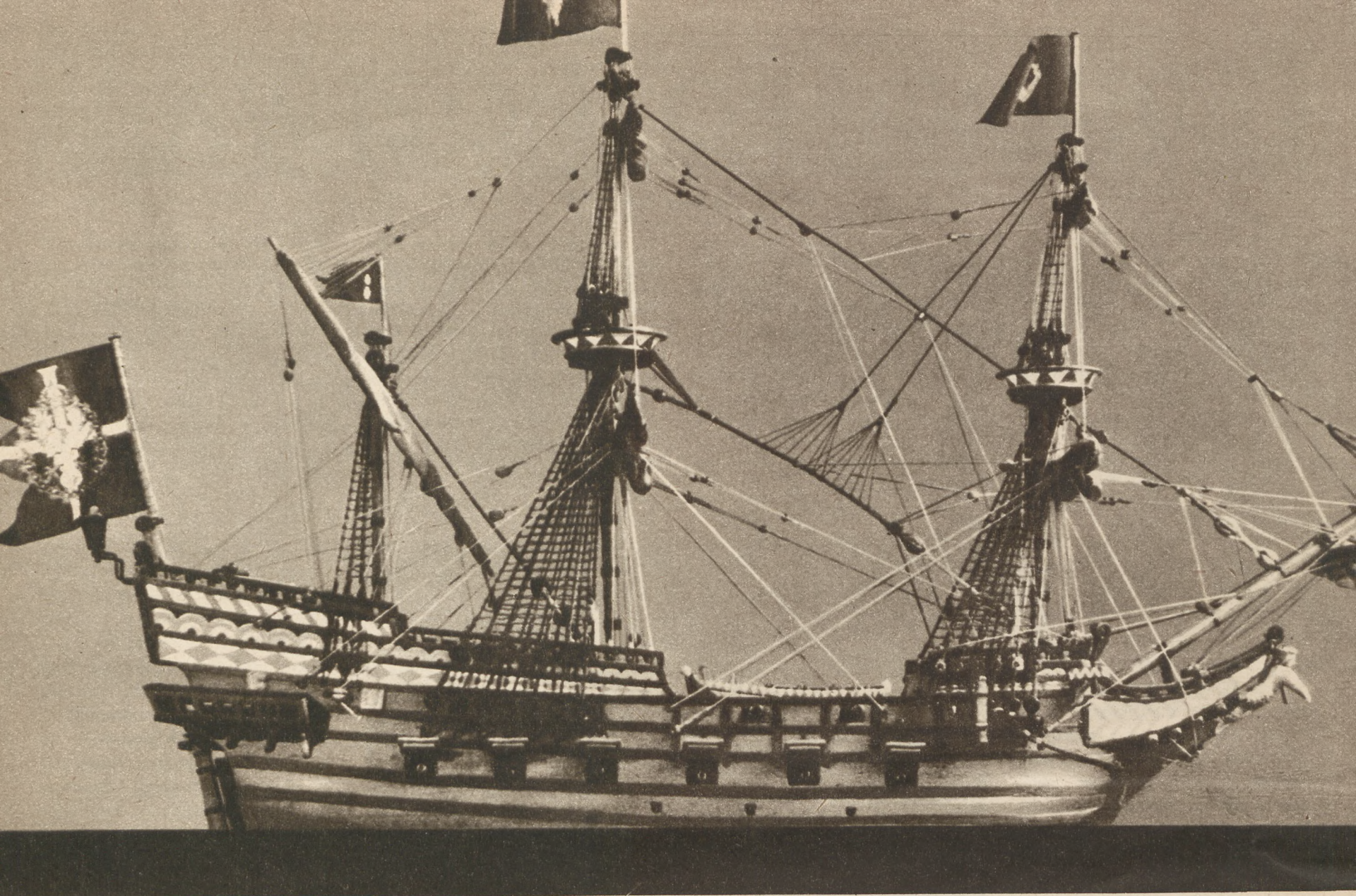
Wystrzał armatni z admirałskiego okrętu „Święty Jerzy“ poderwał na nogi całą i tak czuwającą zresztą załogę. Radosny krzyk marynarzy był odpowiedzią, że wszyscy są gotowi do walki. W jednej chwili podniosły się wszystkie żagle. Na masztach załopotały wciągnięte pośpiesznie bandery. Naprężyły się liny ciągniętych na pokład kotic. Polska eskadra morska, składająca się z 10 jednostek bojowych i około 2000 marynarzy, wyruszyła na spotkanie nieprzyjaciela.

Rozpoczęła się bitwa pod Oliwą.

Na czele eskadry płynął „Król Dawid“, a za nim w przepiśowej odległości admirałski „Święty Jerzy“, na którego wysokim mostku kapitańskim stał spokojnie admirał Dickman. W dalszej kolejności w szyku torowym płynęły pozostałe okręty: „Pędzący Jeleń“, „Panna Wodna“, „Wodnik“, „Arka Noego“, „Syrena“, „Tygrys“, „Biały Pies“ i „Delphin“.

Okręty w wyznaczonej sygnalizacją odległości szybko pręły grzbiety fal. Wiejący od strony łądu południowo-wschodni wiatr ułatwiał posuwanie się eskadrze polskiej pędzącej w kierunku Helu, wprost na nieprzyjaciela.

Na widok zbliżającej się pol-



Okręt „Wodnik” z czasów bitwy pod Oliwą wg modelu wykonanego przez Mieczysława Boczarę w Krakowie

skiej eskadry, szwedzki okręt admirałski „Tiger” wysunął się na czoło eskadry zwiększając szybkość. Okręty polskie, znajdujące się w niewielkiej odległości od nieprzyjaciela, błyskawicznie zmieniły szyk torowy ustawiając się w szyku czołowym (jeden obok drugiego), gotowe do podjęcia walki.

Szwedzki okręt admirałski, zataczając ostry łuk, pierwszy zaatakował polską eskadrę. Okręty szwedzkie manewrujące pod wiatr nie od razu mogły się rozwinąć w szyk czołowy. Wykorzystała to eskadra polska, która wykonała wspaniały manewr i dała pierwsza ognia ze swych dział „Święty Jerzy”, który podpłynął ku szwedzkiemu okrętowi admirałskiemu, bluznął na niego ulewą żelaza ze swych 4 dział ustawionych na dziobie. Natychmiast odpowiedziała szwedzka artyleria trafiając w polski okręt admirałski, nie wyrządziła mu jednak poważniejszych szkód. „Święty Jerzy” błyskawicznym manewrem zmienił położenie, odciął „Tigra” od reszty szwedzkich okrętów i drugą salwą z tylnej burty poprawił pierwszy strzał. W kilka minut zbliżył się do burty „Tigra”. Admirał Dickman

dał rozkaz zarzucenia pomostu na okręt nieprzyjacielski. Zgrzytnęły pomosty i dwa olbrzymie cielska okrętów zwarły się w potężnym uścisku. Piechota morską wdarła się na pokład szwedzkiego statku. Poszły w ruch berdy-sze, topory i szable.

Szwedzi nie byli jednak łatwym przeciwnikiem. W kilkakrotnym kontrataku zwierali się wręcz z polskimi marynarzami starając się ich za wszelką cenę zepchnąć z pokładu. Nie udało im się to jednak. Admirał szwedzki, śmiertelnie ranny przez atakujących Polaków, padł rozkrzyżowany na deski pokładu. Zdołał jednak, mimo ran poniesionych, dać rozkaz swej załodze, aby wysadziła „Tigra” w powietrze, licząc na to, że wraz z nim wyleci szczipiony polski okręt. Stary wilk morski, admirał Dickman, nie dał się jednak zaskoczyć. Już wcześniej wydał rozkaz wdarcia się do komory z prochem i udaremnienia ewentualnego wysadzenia okrętu.

Zacięty pojedynek z załogą „Tigra” przedłużał się coraz bardziej. Szwedzi bronili się jak lwy. Na pomoc więc „Świętemu Jerzemu” pośpieszył „Pędzący Jeleń” i „Panna Wodna”. Teraz

los „Tigra” został przesądzony. Marynarze polscy opanowali jego pokład. Po głównym maszcie pięł się szybko w górę młody polski marynarz. Zdarł szwedzką banderę, a na jej miejscu załopotała bandera polska — czerwona chorągiew ze zgiętym ramieniem białej ręki zbrojnej w miecz.

Na nic się nie zdała pomoc „Tigrowi”, idąca od strony innego szwedzkiego okrętu, „Pelikana”. Celna salwa z dział „Świętego Jerzego” zmusiła „Pelikana” do opuszczenia pola walki. Z kolei pośpieszył z pomocą największy szwedzki okręt „Solen” (słońce), ale i ten nie miał szczęścia w walce. Dopadł go polski okręt „Wodnik” i błyskawicznie zarzucił haki pomostu. Rozgorzała na „Solenie” zacięta walka wręcz. Trzy razy marynarze polscy wdzierali się na pokład „Solena” zadając Szwedom ciężkie straty. Szwedzi widząc że nie zdołają powstrzymać napierających Polaków, postanowili swój okręt wysadzić w powietrze i zniszczyć równocześnie polski. W ostatniej chwili udało się „Wodnikowi” odbić od szwedzkiego okrętu. W parę sekund później potężny wybuch wstrząsnął powietrzem, „Solen” poszedł na

dno. Mówiono później na polskich okrętach że „słońce zaszło w południe”.

Widząc klęskę swych największych jednostek dowódcy pozostałych okrętów szwedzkich dali rozkaz odwrotu. Po dwugodzinnej zaciętej bitwie Szwedzi skapitulowali uchodząc w popłochu z pola walki.

Zwycięstwo polskiej marynarki było wspaniałe. Opłacone zostało wprawdzie śmiercią dzielnego dowódcy admirała Dickmana i kilkudziesięciu marynarzy, ale nie licząc zatopionego „Solena”, Polacy zdobyli nieprzyjacielski okręt admirałski wraz z całym uzbrojeniem, zabrali sporą ilość jeńców, reszta zaś poległa w walce. Dzięki zwycięskiej bitwie pod Oliwą, Zatoka Gdańska została uwolniona od szwedzkiej blokady. Jakkolwiek dowództwo szwedzkie wysłało na wody Bałtyku nową eskadrę, to ta jednak nie odważyła się wpłynąć do Zatoki Gdańskiej.

Zwycięstwo pod Oliwą odbiło się szerokim echem nie tylko w kraju, ale w całej Europie, głosząc triumf młodej polskiej marynarki wojennej.

Tadeusz Polak



# Słownik geograficzny

Witold Zembrzusi

Do słownika geograficznego zaglądały codziennie tysiące pracowników nauki, administracji, gospodarki narodowej, kultury oraz szerokie rzesze czytelników bibliotek. Powinien by on znajdować się w każdej placówce naukowej, w każdym ważniejszym biurze i urzędzie, w każdej bibliotece i szkole średniej. Warto więc przypomnieć, w jakich okolicznościach powstał nasz *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*.

Po Powstaniu Listopadowym zamknięto uniwersytet warszawski. Warszawa została bez wyższej uczelni. Dopiero Wielopolski wyjednał ponowne otwarcie w 1862 r. wyższej uczelni pod nazwą Szkoły Głównej, której rektorem został Józef Mianowski. Krótki był żywot Szkoły, zamkniętej wnet po Powstaniu Styczniowym w 1869 r., ale dzięki świetnemu doborowi profesorskiemu i duchowi, jaki w niej panował, uczelnia zdążyła wydać szereg wybitnych jednostek, które w okresie powstaniowym, w czasach najgorszej reakcji carskiej nie tylko podtrzymywały ducha w narodzie, ale w najtrudniejszych warunkach potrafiły pracować naukowo, dokładając cegiełkę nauki polskiej do światowego gmachu wiedzy. Do takich właśnie wielkich dzieł ducha i myśli polskiej zaliczyć należy *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, wydany pod redakcją Filipa Sulimierskiego, Bronisława Chlebowskiego i Władysława Walewskiego w latach 1880—1904.

Kto to byli twórcy tego wielkiego dzieła i jak doszło do jego realizacji?

Pierwszą myśl wydania Słownika geograficznego rzucił F. Sulimierski, redaktor „Wędrowca”, tygodnika poświęconego geografii oraz podródom. Na początku 1878 r. ogłosił on na łamach „Wędrowca” odezwę o konieczności wydania dzieła poświęconego znajomości ziemi ojczystej i krajów przy-

ległych, pod nazwą Słownika geograficzno-statystycznego. Prosił czytelników o współpracę redakcyjną i pomoc finansową. Liczne wyrazy uznania oraz życzenia poszerzenia tego wydawnictwa skłoniły red. Sulimierskiego do powiększenia pierwotnego planu i opracowania wydawnictwa obejmującego całokształt zagadnień geograficznych ziem dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Początkowo Słownik miał być w dwu tomach, następnie — w pięciu, a skończyło się na szesnastu tomach.

W odpowiedzi na odezwę, przedrukowaną przez większość prasy polskiej, Władysław Walewski, ziemianin, kandydat nauk dyplomatycznych uniwersytetu dorpackiego, ofiarował pomoc finansową, współpracę zaś obiecało przeszło 130 innych osób z całej Polski.

W dniu 1 marca 1879 ukazała się odezwa podpisana przez Sulimierskiego już jako „głównego redaktora” oraz przez współredaktorów Walewskiego i Chlebowskiego, magistra nauk filozoficzno-historycznych b. Szkoły Głównej.

Zapowiedziano na 1 stycznia 1880 r. wyjście pierwszego miesięcznego zeszytu Słownika. To zobowiązanie redakcji, gdy nie miała jeszcze nic prawie w tece redakcyjnej, wydawało się wprost niewykonalnym mierzaniem „sił na zamiary”, tym bardziej że nie było wówczas w tym zakresie fachowców. Na przeszkodzie stał również rząd carski, gnębiący wszelkie przejawy ducha polskiego. Jednak osobistymi staraniami i rozmaitymi wpływami oraz brzęczącymi argumentami zdołano przełamać przeszkody, piętrzone przez carskich czynowników. Dalszą wielką trudnością było przygotowanie techniczne drukarni do tak obszernego i trudnego wydawnictwa, najważniejszą zaś rzeczą było opracowanie materiału do pierwszych zeszytów Słownika. Wszystko to jednak zostało pokonane. Red. Chlebowski zajął się głównie opracowaniem

danych tyczących się Królestwa Polskiego, red. Sulimierski zaś wziął na siebie opracowanie pozostałych działów oraz redakcję całości. W oznaczonym terminie, 1 stycznia 1880 r., wyszedł rzeczywiście pierwszy pięcioarkuszowy zeszyt Słownika i odtąd do końca wydawnictwo ukazywało się z wzorową punktualnością. W owych tak ciężkich czasach, gdy Polska była pocięta kordonami zaborczymi, znalazło się przeszło 2 tysiące prenumeratorów, co ze względu na charakter naukowy wydawnictwa było liczbą bardzo dużą. Początkowy nakład Słownika wynosił 3000 egzemplarzy, później od VII tomu zmalał do 2000.

Każdy z zaborów żył w zupełnie różnych warunkach politycznych, administracyjnych, gospodarczych itp. Redakcja Słownika w tych warunkach była pracą ponad ludzkie siły, toteż red. Sulimierski pada pod jej ciężarem jak żołnierz na posterunku. Nadmiar prac i obowiązków, jakie wziął na swe barki, wyczerpał siły młodego organizmu i spowodował nagły, przedwczesny zgon. Red. F. Sulimierski umiera w chwili rozpoczęcia druku VI tomu Słownika, na początku 1885 r.

Redakcję po nim objął Br. Chlebowski, powołując na współredaktora Józefa Krzywickiego, również wychowanka Szkoły Głównej. W 1890 r. śmierć zabiera Wł. Walewskiego, który nie doczekał się także ukończenia druku swego dzieła. Umierając, Walewski przekazuje testamentem całość wydawnictwa Kasie Pomocy Naukowej im. J. Mianowskiego — placówce naukowej, która stała się pomnikiem rektora Szkoły Głównej. Począwszy od XI tomu wydawanie Słownika finansowane jest z zasiłku Kasy. Z licznego grona pierwszych współpracowników do końca druku dotrwało tylko 7. Ogółem, w pracach nad Słownikiem brało udział około 700 osób, w większości bezinteresownie. W czerwcu 1897 r. ukazał się ostatni tom, czternasty. Po Encyklopedii Orgelbranda było to największe pod względem objętości wydawnictwo (cała praca obejmuje 15 000 stron). Koszt jego wyniósł 110 000 rubli, sumę na owe czasy bardzo dużą, która została całkowicie pokryta prenu-

meratą i sprzedażą kompletów. Okazało się jednak konieczne uzupełnienie Słownika, toteż wydano jeszcze dwa tomy suplementu w lutym 1904 r. pod red. Br. Chlebowskiego i J. Krzywickiego.

Poza doniosłością naukową Słownik miał olbrzymie znaczenie polityczne. Kiedy Trzej zaborcy wykreślili z mapy Europy imię Polski — Słownik geograficzny stwierdzał, że pozbawiona bytu państwowego Polska żyje nadal. Niemniej zaprzeczyć się nie da, że Słownik obciąża dużo niedociągnięć, wynikających z warunków, w jakich był wydawany. Redagowany w Warszawie, nie mógł potraktować należycie pozostałych zaborów, a szczególnie pruskiego; brakło tam odpowiednich sił, dostępne zaś materiały urzędowe z zaboru pruskiego były przepojone na ogół wybitnie tendencyjnym duchem hakatystycznym, co oczywiście odbierało im wartość źródła naukowego.

Poza tym może zbyt mało — przynajmniej na dzisiejsze nasze potrzeby — uwzględniono w Słowniku zagadnienia z zakresu kultury, nauk społecznych itd. Słownik powstał z górną 75 lat temu, a od tego czasu nauka poszła naprzód siedmiomilowymi krokami, zmieniły się również całkowicie warunki polityczne, administracyjne, społeczne i narodowościowe. Ziemię Zachodnie w Słowniku są uwzględnione w nazbyt szczupłym zakresie. Nie ma też w nim ilustracji, planów i map. Toteż obecnie konieczne stało się opracowanie nowego polskiego słownika geograficznego, który by obejmował Polskę i kraje sąsiednie.

Jeśli w ciągu kilkunastu lat kilku ludzi rozporządzających bardzo ograniczonymi środkami materialnymi zdołało opracować i wydać takie dzieło jak *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, to tym bardziej obecnie, mając podstawę w dawnym Słowniku, o ileż łatwiej opracować nowy, gdy możemy mieć do dyspozycji tysiączne zastępy pracowników naukowych ze wszystkich dziedzin, obszerne materiały, olbrzymią literaturę i środki finansowe.

A praca to pilna i niezbędna.

# Słownik geografii turystycznej

Maria Irena Mileska

W maju 1951 roku z inicjatywy Biura Turystyki Ministerstwa Komunikacji zostało podjęte opracowanie *Słownika geografii turystycznej Polski*. Zbieranie materiałów i redakcyjne opracowanie hasel trwało przeszło dwa lata. Pierwszą część maszynopisu oddano do produkcji w 1953 r. Hasła od litery A do H zostały wydrukowane w ciągu 1954 r. i leżą na składzie. Z przyczyn niezależnych od redakcji produkcja Słownika została wstrzymana, dopiero w końcu października 1956 r. redakcja otrzymała skład litery M. Należy się spodziewać, że do końca bieżącego roku zostanie opublikowany tom pierwszy od litery A do N włącznie. Drugi tom Słownika od litery O do Z jest przy-

gotowywany do druku, przy czym uzupełnia się już tylko hasła od litery T, poprzednie są ukończone.

Ze względu na zwłokę w produkcji informacyjny materiał Słownika, dotyczący aktualnego życia gospodarczego i podziału administracyjnego, stracił w pewnej mierze aktualność, jest dokumentacją z 1952 r. Niektóre zmiany po 1953 r. zostały tylko fragmentarycznie wprowadzone podczas korekty.

Na treść Słownika składają się dwa typy hasel: jeden — to opisy wybranych (około 3500) miejscowości, drugi — opisy regionów geograficznych i ich części. Ponadto w Słowniku znajdują się opisy rzek, jezior, dużych kompleksów lasów, parków narodowych i

rezerwatów. Opisy miejscowości zawierają: charakter prawny osiedla, przynależność administracyjną, informację co do typu osiedla i jego funkcji gospodarczej, położenie geograficzne i topograficzne, cechy krajobrazu najbliższej okolicy, pobliskie tereny wypoczynku, możliwości dojazdu, przy dużych miastach powiązanie komunikacyjne z zapleczem i innymi miastami Polski, informacje historyczne, tradycje i zabytki historyczne, udział mieszkańców w walkach narodowo-wyzwoleńczych i społecznych, główne instytucje oświatowe i kulturalne, zabytki architektury, sztuki i innych działów kultury narodowej, zabytki przyrody. Informacje pożyteczne dla ruchu turystycznego zostały szczególnie podkreślone i obejmują: ważniejsze hotele, schroniska, stacje kajakowe, trasy wycieczek w okolicy z podaniem orientacyjnych wskazówek odległości i kierunków. Ze względu na ogromną rozpiętość tematów — informacje nie są kompletne. Niektóre zjawiska życia współczesnego zostały silnie uwypuklo-

ne, inne — pominięte. Redakcja zdaje sobie sprawę, że pewne interpretacje polityczno-społeczne zostały w wielu wypadkach zbyt uproszczone i że w nowym wydaniu winny ulec rewizji.

Słownik będzie miał około 80 arkuszy, ukończenie druku, to znaczy wydanie drugiego tomu przewiduje się w 1957 r. W opracowaniu Słownika brało udział około 50 autorów, głównie czynni krajoznawcy-turyści, geografowie oraz przedstawiciele innych gałęzi wiedzy. Nad całością pracy czuwał komitet redakcyjny, powołany przez Komitet do Spraw Turystyki.

W związku z przygotowanym obecnie do druku Słownikiem geografii turystycznej Polski, zamieszczamy notatkę informacyjną, nadesłaną nam przez p. Marię Irenę Mileską, przewodniczącą komitetu redakcyjnego Słownika.

Zapoznawszy się z założeniami tego wydawnictwa sądzimy, że może ono okazać się interesujące i pożyteczne, jakkolwiek nie zastąpi Słownika geograficznego.

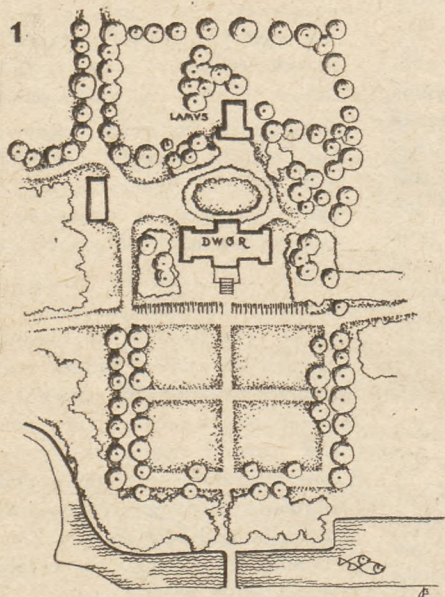
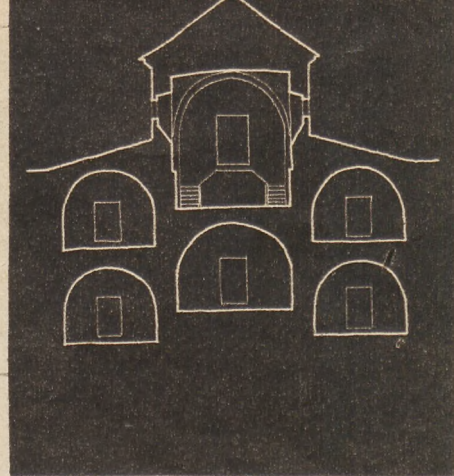


1 Plan parku, w którym mieści się lamus

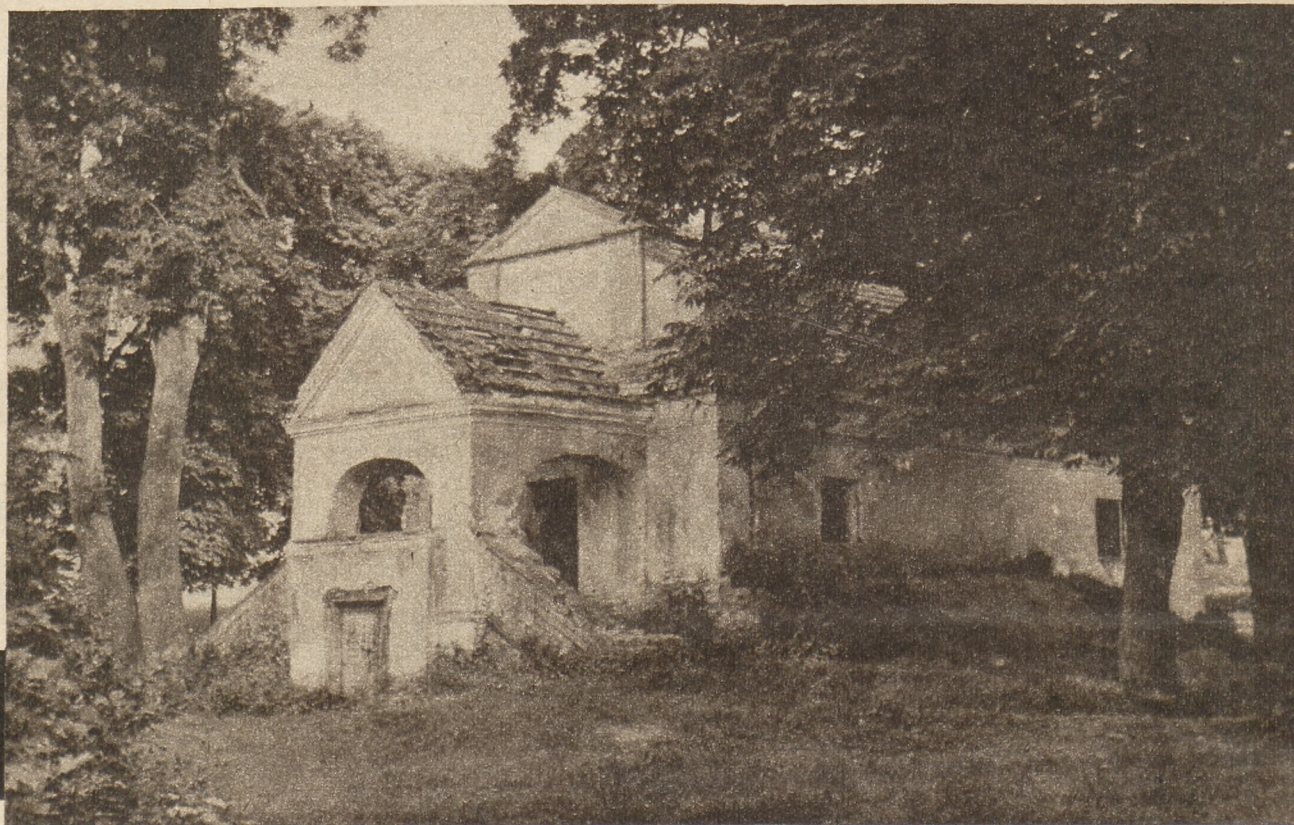
2 Fragment „ogrodu włoskiego“

3 Lamus w Udryczach — część naziemna

4 Przekrój lamusa



3



## LAMUS W UDRYCZACH

Janusz Bogdanowski

Podobno gdzieś na Podolu była wspaniała świątynia barokowa, lecz obrzędy odprawiano tam w ogromnych podziemiach, opatrzonych kolumnami, emporami, schodami. Nabożeństwa i procesje odbywały się przy blasku jarzących się świec i płonących pochodni, które nadawały wszystkiemu iście zjawiskowy nastrój.

Przypominają się obrazy włoskich mistrzów baroku; z ciemnego tła wynurzają się jaskrawo oświetlone postacie-zjawy, za nimi majaczą kolumny, ściany tonące w mroku sklepienia fantastycznej architektury.

Opowieść brzmi jak bajka.

Na północ od Zamościa leży poza bezdrożnymi wzgórzami wieś o dziwnej i posępnej nazwie Udrycze. W smutnym bezludnym krajobrazie, na skraju rozległych lasów, ukryta w nieoczekiwaniu dzikim i przepaścistym wąwozie — robi wrażenie zagubionej w pustkowiu. Droga opuszcza się stromo w głąb wąwozu, mija białą kapliczkę i kończy się we wspaniałym starodrzewie dawnego ogrodu dworskiego.

Wielki kwadrat trawnika okalają podwójnym szpalerem huczące rojami pszczoł, ogromne, stare lipy. Pomiędzy nimi błyszczy szeroka tafla sztucznie rozlanej rzeczki. Od południa na stromej szarpie, wśród zieleni, piętrzy się nad trawnikiem „włoskiego ogrodu“ dawny dwór. Dojście doń prowadzi po kamiennych schodach na tonący w zieleni szeroki taras przed dawnym dworskim salonem. Za dworem znów gąszcz drzew i krzewów, a grabowe szpalery podprowadzają do zajazdu przed budynkiem, wspartego na czterech arkadach.

Z boku, na tle sadu, szeroko rozsiadła się oficyna pod omszałą czapą gontowego dachu. Ściany jej zdobia płaskie klasycystyczne lizeny, ale wielka sala z belkowym, wspartym na sosrębie stropie (dziś niestety zamieniona na stajnię), a zwłaszcza narożne krzyżowo sklepienie izdebki o potężnych murach i maleńkich, zarosłych dzikim winem okienkach wskazują, że budowla ta jest znacznie starsza i być może powstała już przed „szwedzkim potopem.“

Ale nie ogród i nie oficyna są tu najcenniejszymi zabytkami.

Przy końcu grabowego tunelu, wśród starych jesionów, kasztanów i klonów stoi mały niepozorny lamus dworski. Wejście w szczytowej ścianie, zwieńczonej resztkami barokowego szczytu, zdobi piękne w swej prostocie podcienie, otwierające się trzema arkadami na park. Po bokach dwa biegi schodów prowadzą ponad zejściem do piwnic przed wejście. Już drzwiami zaskakują swoim wyglądem. Okute blachą, pięknie listwiane, nabijane ćwiekami i rozetami z wytłaczanymi guzami, są nieoczekiwanie wspaniałe w tym skromnym budynku. Są zbyt duże i nasuwają przypuszczenie, że może pochodzą skądinąd. Po dokładniejszym przyjrzeniu się widzimy, że otwór drzwiowy został częściowo zamurowany. Więc jednak są to drzwi lamusa.

Lecz wrażeniem, jakie sprawia na nas wewnątrz domniemanego lamusa, jesteśmy naprawdę zaskoczeni.

W korpusie niskiego, niepozornego budynekczku mieści się wysoka, obszerna nawa,

niemal całkowicie zagłębiona w ziemi. Wnętrze — to zupełnie inny świat. Od drzwi do poziomu posadzki sprowadzają szerokie dwubiegowe schody, maleńkie okienka otwierają się w szerokie framugi i dają niespodziewanie dużo światła, a całość nakrywa potężne sklepienie krzyżowe. Tak może wyglądać tylko wnętrze świątyni, i to świątyni niewątpliwie celowo ukrytej.

Nową niespodzianką są piwnice schodzące dwoma piętrami pod ziemię. Wejście do nich — to wąski i stromy korytarz ceglany, który po kilkunastu stopniach rozchodzi się w trzy strony. Przypominają się różne opowiadania o przepastnych lochach starych budowli. Mijamy dwie sklepione komory i przedostajemy się do dwóch dalszych piwnic równoległych do nawy. Idąc dalej, coraz głębiej pod ziemię, docieramy znów do identycznego niemal jak pierwsze rozwidlenia korytarzy. Wszystkie te dolne pomieszczenia są pozbawione światła, zupełnie ciemne. Schodzimy jeszcze niżej. Za dużą sklepioną salą znajdujemy przejście do drugiej, mniejszej, z dwoma zamurowanymi niszami. Na tym kończą się podziemne lochy.

Tradycja mówi, że był to podziemny zbor „braci polskich“, w którym znajdował się ukryty skarb. Podobno po wojnie przyjechali tu jacyś ludzie ze starym dokumentem i podług niego zaczęli czegoś szukać w parku. Potem zeszli do lamusa i tu zaczęli wybijać dziury w lizenach wspierających gurt sklepienia nawy. W lewej znaleźli skrytkę, z której coś wyjęli i uciekli. Miał to być właśnie ów skarb. Istotnie lizeny są podziurawione, a w jednej z nich widać odkryty schowek. Tradycja mówi również, że z zamurowanej niszy ostatniej podziemnej sali można było dojść tajemnym chodnikiem podziemnym do przydrożnej kapliczki na wzgórzu.

Zastanówmy się, ile w tym wszystkim może być prawdy.

Zachowane cechy stylowe pozwalają się domyślać, że lamus pochodzi z pierwszej połowy XVII wieku. Wszystko jednak wskazuje na to, że sprzeczność między wyglądem zewnętrznym i wewnętrznym zabytku nie jest dziełem przypadku czy skutkiem przebudowy. Czyżby to był podziemny kościół jak w opowieści na początku?

Zbadajmy okoliczności powstania budynku. Pierwsza połowa XVII wieku to okres szerzenia się kontrreformacji, także i na Lubelszczyźnie. Wyrosłe w XVI wieku zbory arian i kalwinów zaczynają zniknąć. W Lublinie poparta przez gawieź młodzież ze szkół jezuickich zdemolowała zbor i omal nie spaliła budynku. Tumulty powtarzają się raz po raz. W obawie przed podpaleniem sami dysydenci likwidują swój drewniany zbor. Podobnie dzieje się w całej dzielnicy. Dla obrony kalwini zaczynają wznosić w Lublinie zbor ufortyfikowany, opatrzone na rogach czterema basztami. Wywołuje to nową falę napaści. Uczniowie kolegium jezuickiego burzą mury dwór Spinków, w którym także mieścił się zbor. Wzrastający stale ucisk powoduje albo przechodzenie innowierców na katolicyzm, albo zatajanie swej wiary i ukrywanie przez nich miejsc kultu — zborów.

Wszystko to wraz z miejscową tradycją zdaje się przemawiać za tym, że lamus w Udryczach to zbor celowo ukryty. Przypuszczenie to potwierdza również fakt, że

właścicielami dóbr udryckich byli protestanci Kiccy, o których wiadomo np., że aż do XIX wieku opiekowali się zborom w Łaszczowie.

Dlaczego jednak nie wzniesiono zboru obronnego, jak to uczynili kalwini lubelscy? Wiadomo, że arianom nie wolno było nosić i używać broni. Niektórzy z nich nawet dla oznaczenia tego nosili drewniane szable. Arianie więc mogli zabezpieczyć swój zbor przed napaściami tylko przez staranne ukrycie go.

Zagadką jednak pozostaje nadal rola podziemi. Być może, służyły one za miejsce ostatecznego ukrycia (arianie byli najmocniej zwalczaną sektą religijną), być może — miały jakiś wyprowadzający na zewnątrz korytarz. Nic pewnego jednak na ten temat powiedzieć się nie da.

Pod względem funkcji i wielkości wnętrza w zupełności odpowiada potrzebom zboru, i to nawet dużego. Budowle ariańskie z tego czasu istnieją w wielu miejsc-

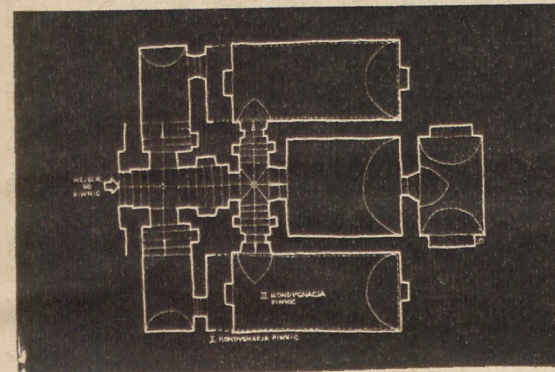
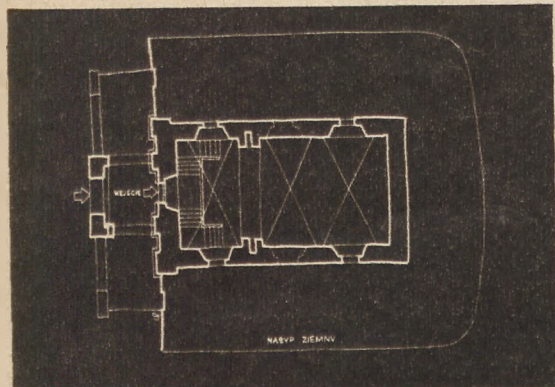
wościach Małopolski, np. w Mirogonowicach w Kieleckiem, w Młodziejowicach w Krakowskiem, w Lutosławicach w Sądeckiem. Zbor w Udryczach jest jednak tworem niezwykle oryginalnym, nigdzie indziej nie spotykanym ze względu na wpuszczenie całości w ziemię, i połączenie jej z systemem podziemi.

Ciekawy ten zabytek naszej architektury jest przyczynkiem do zagadnienia poruszonego na początku. Okazuje się, że w specyficznych warunkach (silna kontrreformacja i zakorzenienie arianizmu) nawet w tak niedalekiej przeszłości mogła powstać podziemna, ukryta świątynia. Nie ulega wątpliwości, że jest to wypadek niezwykle rzadki. Podnosi to więc jeszcze bardziej wartość zabytkową zboru w Udryczach, nad którym należałoby rozłożyć troskliwą opiekę. Stan, w jakim znajduje się on obecnie, nie rokuje nadziei na długie zachowanie.

5 Rzut parteru

6 Rzut piwnic

7 Udrycze — oficyna dworska z XVII wieku  
Zdjęcia i rysunki autora



## SZKOLNICTWO POLSKIE W MIASTACH MAZUR I WARMII W XIX W.

Tadeusz Grygier

W polskiej literaturze naukowej, publicystycznej i w przekonaniu opinii publicznej przeważa pogląd, jakoby w szkołach miejskich Mazur i Warmii w XIX wieku najszybciej wyrugowano język polski oraz jakoby najwcześniej, bo już w połowie XIX w. germanizacji uległy miasta. Tymczasem przy bliższym zbadaniu rzecz przedstawia się odmiennie.

Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na jeden zasadniczy moment. Wprawdzie zarządzenia germanizacyjne wydawane po r. 1804 dotyczyły w przeważającej części szkolnictwa miejskiego, ale tylko pewnej jego części, tzw. szkół obywatelskich. Na terenie miast mazurskich i warmińskich istniały też szkoły powszechne ludowe, obejmujące najbiedniejszą ludność miast — tzw. szkoły biednych. Nazywane one były również szkołami polskimi. W szczególności sprawa ta w różnych miastach Mazur i Warmii przed-

stawiała się następująco: Nidzica posiadała już w pierwszej połowie XVIII wieku polską szkołę średnią. Za rektoratu (kierownictwa) Czernickiego i Krupińskiego poziom był tam dość wysoki, tak że do niej zjeżdżała się nawet młodzież z Gdańska, Elbląga, Królewca oraz z pogranicznych ziem polskich. Natomiast szkolnictwa podstawowego zorganizowanego miasto prawie nie miało. O tym szkolnictwie podstawowym pomyślano dopiero w roku 1816. Utworzono wówczas dwie szkoły: jedną dla bogatszych, drugą dla biednych. Szkoła miejska dla bogatych miała np. w r. 1840 4 klasy, z których najwyższa liczyła 14 uczniów, a najniższa 115. Szkoła biednych posiadała tylko jedną klasę, obejmującą 195 uczniów. Drugą cechą charakterystyczną tych szkół było to, że w szkole miejskiej uczono w języku niemieckim, a w szkole biednych w języku polskim.

Ten podział na szkoły miej-

skie i szkoły biednych jest elementem organizacji szkolnictwa we wszystkich miastach Mazur i Warmii. I tak np. w Działdowie w r. 1850 szkoła biednych liczyła 80 dzieci, a szkoła miejska, 3-klasowa 160 dzieci. W Wielbarku szkoła biednych liczyła 190, a szkoła miejska 70 dzieci.

Podkreślić przy tym jednak trzeba, że podział na szkołę miejską i szkołę biednych nie był podziałem narodowościowym. Do obu szkół chodziły dzieci polskie. Był to podział raczej klasowy, majątkowy, związany też z politycznym wyrobieniem rodziców. Do szkół biednych chodziły dzieci rodziców, którzy zdecydowanie przeciwstawiali się tendencjom germanizacyjnym władz pruskich i nie pozwalali w ogóle na naukę w języku niemieckim. W takim np. Wielbarku, gdzie w szkole biednych panowało niesłychane przepelnienie, a w szkole miejskiej w klasach pustki, władze pruskie za-

żądały od rektora szkoły przesunięcia dzieci ze szkoły biednych do miejskiej, wówczas rodzice gwałtownie zaprotestowali. Oświadczyli oni, że „nie zgadzają się na to, gdyż chcą by dzieci uczono w języku polskim, a w szkole miejskiej uczy się tylko po niemiecku.”

Zdecydowana przewaga żywiołu polskiego w miastach Mazur i Warmii sprawiała, że nieliczna grupka niemieckich urzędników państwowych odseparowywała się od ludności polskiej i nie posyłała swych dzieci nawet do szkół miejskich, ucząc je w domu lub w szkołach prywatnych.

Jakie więc względy kierowały częścią znacznie mniejszą ludności miast Mazur i Warmii, że posyłała jednak swe dzieci do niemieckiej szkoły miejskiej. Chyba przypisać to trzeba uznaniu zasady, że każdy obywatel państwa pruskiego powinien znać język niemiecki. Było to istotnie koniecznością życiową dla przyszłych więk-

szych kupców, rzemieślników, hurtowników. Niewątpliwie, z czasem ta łączność gospodarcza części ludności polskiej sprzyjała postępowi germanizacji w miastach. Ale to sprawa dopiero lat osiemdziesiątych XIX wieku. Zarządy miejskie w pierwszej połowie XIX wieku inaczej rozumiały sprawę szkół miejskich, zdecydowanie przeciwstawiały się rugowaniu języka polskiego nawet ze szkół miejskich dla bogatych. Charakterystyczną ilustracją oporu zarządów miejskich stanowi pismo magistratu miasta Elku z 20. III. 1830. Jest ono protestem przeciwko wydanym przez rejencję gabińską zarządzeniom z dn. 12. X. 1829 i 18. II. 1830 o obowiązkowym wprowadzaniu w szkołach miejskich nauki w języku niemieckim. Magistrat stwierdzał „że od samego początku nauczania wprowadzono bez wyjątku naukę języka niemieckiego jako przedmiotu nauczania. Rozumiemy, że wszyscy obywatele muszą znać język urzędowy, ale przypominamy, że mowa ojczysta jest świętością i żadne zarządzenie nie może języka ojczystego wyrugować. Co więcej, wykonanie takiego zarządzenia może wywołać opory i niezadowolenie. Pytanie, czy mowa polska zginie w naszej okolicy, pozostawiamy bez odpowiedzi. Ale wskazujemy, że jest to mało prawdopodobne wobec bliskości i stałego kontaktu handlowego z Polską. To jednak uznajemy, że w naszej polskiej szkole jest nauka języka polskiego koniecznością. Pominąwszy to, że kupcy przychodzący z zewnątrz używają mowy polskiej, ale to ważniejsze, że duża część ludności używa starej mowy polskiej. Kupcy chcą mieć pracowników, którzy znają język nie-

miecki i język polski. My traktujemy szkołę polską jako naszą dawną szkołę, w ogóle jako podstawę szkolnictwa. Chcemy w dalszym ciągu uczyć języka polskiego. Niemieckiego też będziemy nauczać, ale nie będziemy się mieszać do zainaugurowanego planowego wyrugowywania języka polskiego. Uzasadniamy nasze stanowisko tym, że nie jesteśmy przekonani o zgodności z prawem tego rodzaju akcji oraz że takie postępowanie jest sprzeczne z dążeniami naszej epoki. My dalej patrzymy w przyszłość, a takie pociągnięcia, jakich żąda rejencja, nie dają widoków na pozytywne skutki. My musimy bronić dawnych praw naszego kraju, jego odrębności wywalczonych na państwie pruskim nie raz wielkim kosztem.”

Protest magistratu miasta Elku zaniepokoił rejencję, która 4. IV. 1830 r. wysłała do Elku wyjaśniające pismo, że „miasto źle zrozumiało intencję rejencji. Nie obstajemy przy tym, by wszystkie dzieci miały tylko mówić po niemiecku i że trzeba ze szkół wyrugować język polski.” Widzimy więc, że na skutek oporów ludności polskiej, rejencja gabińska musiała zrezygnować na razie z bezwzględnej walki z językiem polskim.

Inaczej przebiegała walka o polskość szkoły w miastach mazurskich, w których już przed 1808 rokiem mieszczaństwo niemieckie dzięki swej lichobobności i przewadze majątkowej miało nieraz decydujący głos w zarządzie miejskim. Tak np. było w Ostródzie. Centrum miasta zasiedlone było przez bogatych mieszczan niemieckich. Przedmieścia natomiast zamieszkiwała ludność polska. Były tam też dwie gminy kościelne i szkolne: niemiecka i polska. Magistrat niemiecki, chcąc zadośćuczynić ger-

manizacyjnym pociągnięciom władz pruskich, postanowił w r. 1813 zlikwidować odrębność polskiej gminy szkolnej i kościelnej, ofiarowując ludności polskiej możliwość korzystania z pomieszczeń szkoły niemieckiej i kościoła niemieckiego. Projekty te wywołały gwałtowny sprzeciw. Magistrat Ostródy zarządził referendum. Wynik głosowania — 2121 głosów padło przeciwko likwidowaniu szkoły i kościoła polskiego. Gdy jednak magistrat ostródzki nie zrezygnował ze swych projektów, ludność polska 26. II. 1816 roku wysłała skargę do rejencji królewieckiej. Przedstawiono w niej „że ludność polska uznaje takie postępowanie miasta, zarządów kościelnych i szkolnych za ukrócanie praw Ludność polska w kościele i szkole niemieckiej będzie automatycznie zepchnięta na drugi plan. Z likwidacją szkoły polskiej i kościoła polskiego może nastąpić likwidacja języka polskiego, a my wyrażamy bezwzględną wolę nauczania dzieci naszych w języku polskim.” Magistrat miasta Ostródy, nie chcąc wywoływać większego fermentu, musiał zrezygnować ze swego projektu.

Odmienne sprawę szkoły polskiej (tzw. Armenschule) stawiała burżuazja niemiecka w Olsztynku. Uważała ona, odwrotnie niż burżuazja ostródzka, że utrzymanie szkoły polskiej jest konieczne. Dnia 9. IV. 1863 r. pisze do rejencji królewieckiej, iż „szkoła biednych musi objąć dzieci robotnicze, które muszą rodzicom pomagać w pracy i dlatego często nie chodzą do szkoły, dalej obejmuje dzieci niezdolne i tępe, wstrzymujące swą obecnością postępy w nauce całej klasy szkoły miejskiej, oraz ostatecznie dzieci, których rodzice nie mogą kupić podręczników. Szkoła ta wychować ma przy-

szłych dobrych, posłusznych robotników”. Podobne stanowisko zajął magistrat miasta Elku w drugiej połowie XIX w., który wyasygnował znaczne sumy na urządzenie szkół żeńskich dla dziewcząt z wyższych klas społecznych, a równocześnie nie miał kredytów na zaangażowanie pomocnika dla nauczyciela szkoły polskiej, Śrubę, uczącego 180 dzieci w jednej klasie. Uznano, że „podstawą podniesienia poziomu szkolnictwa miejskiego, jest jedynie konieczność usunięcia z niemieckich klas dzieci biednych i robotników oraz przekazanie ich nauczycielowi Śrubie. Myślimy bowiem usunąć ze szkoły niemieckiej język polski jako wykładowy z chwilą, gdy dzieci będą rozumieć pytania po niemiecku i będą dawać odpowiedzi po niemiecku. A ponieważ Śruba będzie miał wobec tego jeszcze więcej dzieci, więc należy obniżyć ilość godzin nauczania dziennie do 3. Tym sposobem, bez angażowania nowego nauczyciela, Śruba będzie mógł dziennie uczyć 2 komplety uczniów.”

Wywody magistratu miasta Elku nie wymagają komentarza.

Stwierdzić więc wypada, że wbrew dotychczasowym mniemaniom walka o język polski w miastach Mazur i Warmii była nie mniej silna niż na wsi. Co więcej, była ona bardziej złożona, miała za przeciwnika nie tylko władze pruskie, germanizującego nauczyciela, ale i zorganizowany samorząd miejski. Ludność polska w miastach Mazur i Warmii musiała walczyć o język polski oraz o normalny rozwój społeczny. Groziło jej dwojakie niebezpieczeństwo: albo utrata języka polskiego, albo zepchnięcie do roli pariasów w stosunku do bogatego mieszczaństwa niemieckiego.

## ROMAŃSKIE RZEŻBY W INOWROCŁAWIU

Maria Przeździecka

W samym prawie centrum Inowrocławia znajduje się romański kościół pod wezwaniem N. M. Panny. Jest to surowa w sylwecie budowla dwuwieżowa, wzniesiona z granitowych bloków (wieże w ich wyższej partii zostały zrekonstruowane z cegły). Niemieccy historycy sztuki<sup>1</sup> datowali kościół ten na początek XIII wieku. Obecnie istnieje ten-

dencja do przesunięcia okresu budowy świątyni na koniec XII wieku<sup>2</sup>.

Kościół przetrwał w stanie pierwotnym do XIX wieku, kiedy w roku 1816 z powodu bardzo złego stanu zaniechano odprawiania w nim nabożeństw, a w 1834 uległ dodatkowemu zniszczeniu wskutek groźnego pożaru. Następne dziesiątki lat stał on w

kompletnej ruinie, bez dachu, z zawalonymi częściowo wieżami, aż w 1891 roku zdecydowało się miasto zabezpieczyć ten cenny zabytek, przynajmniej prowizorycznie, przez przykrycie murów. Obecnie budowla jest zrekonstruowana.

Kościół jest skromny i w rozczłonkowaniu bryły architektonicznej, i w dekoracji rzeźbiar-

skiej. Daremnie byłoby tu szukać bogatej ornamentyki romańskiej, występującej w owym czasie w rozczłonkowanych portalach, na kolumnach czy w innych partiach budowli. Portale są skromne i zdobione jedynie kilku prostymi uskokami. Przy jednym z nich, a mianowicie północnym, znajduje się rzecz nie spotykana w innych naszych zabytkach romańskich. Są to trzy maski, wydobyte w stosunkowo płaskim reliefie z bloków granitu. Zgrupowane one zostały z



← Kamienne maski w portalu kościoła Najświętszej Marii Panny w Inowrocławiu

Fot. M. Przeździecka

↓ Jedna z masek tego portalu

Fot. M. Przeździecka

prawej strony portalu i nie stanowią części jego dekoracji, lecz przeciwnie, wydaje się, iż funkcji tej nie miały nigdy spełniać, gdyż nie są uszeregowane w jakiś dekoracyjny układ, a jedna z nich umieszczona jest już nawet w murze ściany.

Poza wymienionymi maskami w wyższych partiach muru, zarówno na północnej ścianie jak i na wieżach, znajdują się liczne ryte płaskie sylwety fantastycznych zwierząt, krzyże greckie i inne ciekawe wyobrażenia, które, podobnie jak maski, nie wiążą się w żadne układy dekoracyjne. Okoliczność ta pozwala snuć daleko idące przypuszczenia, a mianowicie, że mamy tu do czynienia z pozostałościami wierzeń pogańskich. Paganie bowiem postępowali podobnie, gdy chodziło o ochronę przed złymi mocami i demonami. Ludzie prymitywni nie umieli sobie wytłumaczyć wielu zjawisk przyrodniczych, odczuwali przed nimi lęk i doszukiwali się w nich ukrytych sił, które starali się opanować i ujarzmić za pomocą rozwiniętej szeroko magii. Na tym podłożu rozwinęło się bogate zdobnictwo okrętów wikingowskich, których rzeźbione w drzewie smoki miały za zadanie odstraszenie złych duchów wodnych. Przy zawijaniu okrętów do portu zdejmowano te smocze głowy, by nie przerażały duchów lądowych<sup>3</sup>. Podobną funkcję spełniały ryte na ścianach drewnianych pogańskich świątyń pomorskich wizerunki zwierząt i ptaków, o czym wspomina mnich Herbord w swym sprawozdaniu z akcji nawracania pomorskich pogan z 1158 r.<sup>4</sup>

Nie stanowiło to zresztą zwyczaju tylko północnych ludów. Podobnie zabezpieczali się Etruskowie, którzy na swych drewnianych świątyniach umieszczali plakietki gliniane z głowami demonów i maskami.<sup>5</sup>

Wierzenia magiczne znalazły swe odbicie w sztuce romańskiej, gdzie nie tylko w plecionką i roślinną ornamentykę wkompono-



wane są różne, nieraz bardzo fantastycznie przekształcone przedstawienia zwierząt oraz rozmaite maski, lecz występują one również wyodrębnione z ornamentu, chociaż w budownictwie zachodnim są rozmieszczane w pewnym określonym porządku i najczęściej pod fryzem arkadowym. Takie usytuowanie zwierząt i masek można zauważyć w romańskim budownictwie sakralnym Niemiec, Austrii, Francji i Włoch. Z powodu uporządkowanego układu tych przedstawień, uważano je powszechnie za pewną formę dekoracji. Niemieccy historycy sztuki<sup>6</sup> wyrażają jednak przypuszczenie, że zostały one umieszczone pod dachem jako magiczna ochrona przed pożarem.

Można byłoby mieć pewne zastrzeżenia co do związania prawie całej ornamentyki romańskiej z przeżywającymi się formami magii pogańskiej, co nawet Kościół jakoby sankcjonował. Lecz w wypadku Inowrocławia skrupuły takie byłyby zbędne. Ryte wizerunki zwierząt i inne znaki, jeśli chodzi o widza podziwiającego zewnętrzną sylwetkę kościoła, są rozmieszczone zupełnie przypadkowo, na ogół trudne do odnalezienia, jak się więc zdaje, nie były pomyślane jako element dekoracyjny, lecz spełnić miały inną funkcję, a więc zapewne jednak magiczną. Potwierdza to ich rozmieszczenie na odcinkach najbardziej zagrożo-

nych przez „złe siły“, a więc w wyższych partiach ścian i pod dachem dla ochrony przed pożarem, zawaleniem czy innymi nieszczęściami, mogącymi od tej strony grozić budowli, oraz przy drzwiach, by odstraszyć złe demony od chęci zajrzenia do kościoła.

Według pojęć pogańskich głowa jest siedliskiem siły i jej wyobrażenie zdolne jest odstraszyć zło. Żeby działanie takiej maski było silniejsze i skuteczniejsze, dodawane są do niej często atrybuty zwierzęce, np. na świątyniach etruskich posiadały one uszy i rogi byka. Zwłaszcza dużą rolę w wierzeniach pogańskich odgrywały uszy, więc dodanie uszu zwierzęcych do głowy ludzkiej, jak to widoczne jest na dwóch maskach z Inowrocławia, wyposażało ją w podwójną siłę: ludzką i zwierzęcą.

Inowrocławskie maski i ryte przedstawienia zwierzęce wykonane są najprawdopodobniej przez miejscowych kamieniarzy, kontynuują więc być może jeszcze stare i tradycyjne formy wytworzone w świątyniach pogańskich.

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> J. Kohte: *Verzeichnis der Kunstdenkmäler der Provinz Posen*, Berlin 1897, t. IV, str. 28.

<sup>2</sup> *Architektura polska do poł. XIX w.*, ryc. 57 (I wyd.).

<sup>3</sup> W. v. Blankenburg: *Heilige u. demonische Tiere*, Leipzig (1943), str. 18.

<sup>4</sup> J. Bühler: *Deutsches Geistesleben*, str. 110.

<sup>5</sup> J. Kohlbrugge: *Tier- und Menschenantlitz als Abwehrzauber*, 1926, str. 22.

<sup>6</sup> W. v. Blankenburg: o.c., str. 118.

## Karczma w Małaszewie

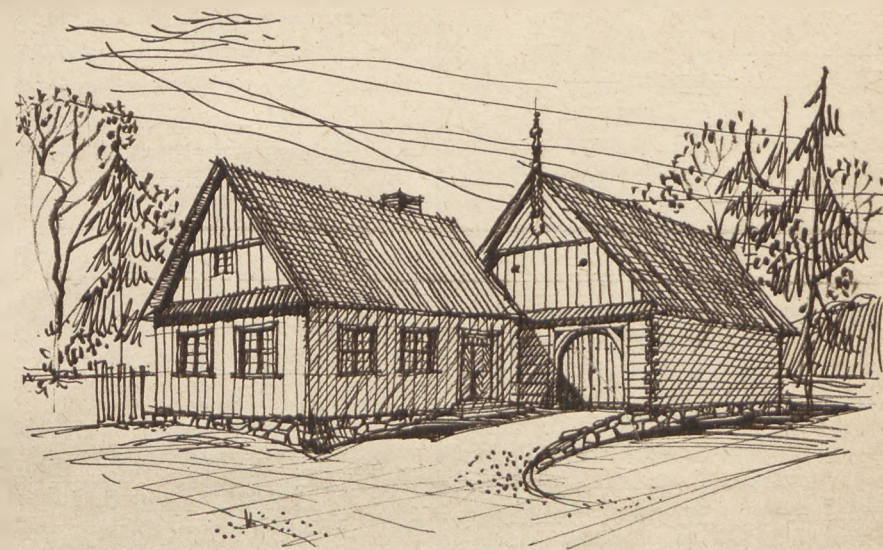
Jeszcze kilkanaście lat temu wiatr poruszał na dachu metalową chora-giewką. Cztery cyfry — 1813 — wycięte w zardzewiałej blasze, upamiętniały rok budowy karczmy w Małaszewie. Czasy to dawne — inaczej wówczas wyglądało otoczenie małaszewskiego jeziora. Nie było jeszcze wsi, a zwarty, gęsty las schodził aż nad same brzegi. Poziom jeziora był ponoć wyższy, a na wyspie leżały się wilki. Wilczyce dostarczały młodym pozywienia, przepływając z brzegu przez płyciznę.

Początek osadzie dały: dom leśniczego, owczarnia obsługiwana przez starego pasterza zamieszkującego niewielką chałupkę i wreszcie w rzezonym roku 1813 karczma i młyn wodny, postawiony nad zasilającym jezioro potokiem. Inwestycje te były dziełem braci Krzykowskich i okazały się niezwykle trwałe. I młyn, i karczma istnieją do dziś, a swą pierwotną funkcję pełniły aż do ostatniej wojny. Przedsiębiorstwem szczególnie intratnym była karczma, przez lat kilkadziesiąt przynosząca właścicielom niezłe dochody.

Zanim wybudowano nowoczesne szosy i linie kolejowe, sieć drożna na Mazurach wyglądała inaczej niż obecnie. Jeden ze szlaków, którym jeździli kupcy do Olsztyna, Szczytna czy Nidzicy, przebiegał właśnie wzdłuż małaszewskiego jeziora, a w karczmie Krzykowskiego podróżni często zatrzymywali się na nocleg.

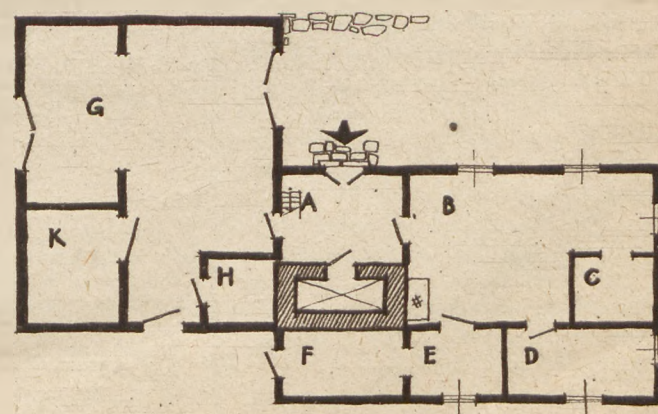
Po brukowanym granitem podjeździe wtaczały się wozy i karety do wielkiej stajni. Tu wyprzegano konie i ustawiano je przy żłobach w osobnej przegrodzie. Pieszy podróżny

(Dokończenie na str. 14)



Karczma w Małaszewie

- A — sień
- B — izba karczmarza
- C — składowa na wódkę
- D — pokój gościnny
- E—F — mieszkanie karczmarza
- G — stajnia, wozownia
- H — chlew
- K — obora



# KMINA OCHWEŚNICKA

ZYGMUNT PĘCHERSKI

**Manki kumatek siwra po ochweśnicku. W Ślesinie wsiackie lanioki psują po ochweśnicku. Młokorne skicioki i karyżki bitez kminią i siwrają co manki bitu grypsa.**

Co to jest? Obcy język czy szyfr?

Niespodziewaną atrakcją Ślesina, małego miasteczka w powiecie konińskim, jest zachowany tu i w pełni kultywowany żargon. Biegle nim włada około 3000 ludzi. Mowa ta jest zupełnie niezrozumiała dla otoczenia. Nie jest to żaden język obcy, nie jest to gwara, lecz sztuczny żargon zawodowy.

Ślesinianie mówią żargonem szybko i nosowo, co jeszcze bardziej utrudnia zrozumienie. Spotykamy w nim słowa pochodzenia przede wszystkim polskiego, lecz nie brak i słów z języka niemieckiego, rosyjskiego, greckiego a nawet ormiańskiego. Ślesinianie używają także ciekawej formy gramatycznej, która wyklucza pierwszą i drugą osobę tak w liczbie pojedynczej, jak i mnogiej. Wszystko się mówi w trzeciej osobie.

Przytoczona powyżej próba żargonu oznacza po polsku: Ja rozumiem trochę po obraźnicku. W Ślesinie wszyscy ludzie mówią po obraźnicku. Młodzi chłopcy i dziewczęta też mówią i rozumieją, co ja tu piszę.

Żargon ten spopularyzował się w Ślesinie w XIX wieku, kiedy ślesinianie trudnili się masowym skupem gęsi na eksport, wywożonych z ówczesnego Królestwa Kongresowego do Prus. Nie znany kontrahentem „język” był bardzo przydatny w handlu. Dziś nie ma on już znaczenia handlowego. Mimo to każde dziecko w Ślesinie za punkt honoru poczytuje sobie biegle władanie „językiem ślesińskim”.

Ślesinianie przejęli znajomość żargonu od pobliskiej osady Skulsk. Dlatego żargon w tym artykule nazywany ślesińskim sami ślesinianie nazywają „kminą ochweśnicką”, czyli językiem obraźnickim. Skulsk bowiem był przez długie lata ośrodkiem masowej produkcji obrazów, czyli „ochwe-

stów”. Księgi parafialne w Skulsku zapisują na początku XIX wieku wśród świadków ślubów i chrztów dużą ilość zawodu „malarza papierowego”. Owi „malarze” stanowili około połowę uprawianych tam zawodów, pośród rolników, rzemieślników i kupców. Parafia zaś skulska obejmowała kilka wsi okolicznych. Przewaga więc obraźników czy, jak tu ich nazywano, „malarzy papierowych” jest tutaj wyraźna. Nie mamy do dyspozycji materiałów z XVIII wieku. Wydaje się jednak, że zawód skulskich obraźników sięga kilku wieków.

Obrażnicy skulscy produkowali obrazy systemem seryjnym, można by dziś powiedzieć — „taśmowym”. Rozkładano na ławie sztukę płótna i dzielono na pola przyszłych obrazków. Następnie maczano palce zwiniętej odpowiednio dłoni w farbie i odciskano ją na środku każdego pola. Wysunięte naprzód palce, wskazujący i środkowy, wyznaczały oczy, podwinięty zaś kciuk i palec serdeczny robiły płamę na miejscu przyszłego nosa i ust. W ciągu kilku sekund zostały już wyznaczone proporcje twarzy świętego. Teraz obraźnik brał na przykład czerwoną farbę i malował od razu na wszystkich obrazach usta. Następnie brał farbę niebieską i malował oczy itd. W ten sposób powstawało od razu siedem podobnych obrazów, których wartość artystyczna prawdopodobnie nie była wielka. Obrazy skrzętnie zbierano i dopiero w sezonie ruszano z nimi w teren. Obrażnicy handlowali także cudownymi lekarstwami, mającymi leczyć wszystkie choroby. Zajmowali się również sprzedażą dewocjonalistów, a pod koniec XIX wieku i sprzedażą oleodruków. Lekarstwa, czyli tak zwaną „medycynę”, i oleodruki przemycano przez granicę z Poznańskiego. Ośrodkiem produkcji „medycyny” było tam Trzemeszno.

\* \* \*

*Żargon ochweśnicki ze Ślesina zaliczany jest przez językoznawców do grupy żargonów zawodowych (handlowych, dziadowskich i złodziejskich). Według tezy Wandy Budziszewskiej (Żargon ochweśnicki, Rozprawy Komisji Językowej ŁTN, Łódź 1955) żargon ów powstał około 100 lat temu, w momencie kiedy wędrowni handlarze ze Skulski i Ślesina zetknęli się we wschodniej Lubelszczyźnie z zawodowymi żargonami ruskimi. Wśród nich najpoważniejszą rolę odegrał żargon „ofenów”, wielkoruskich wędrownych przekupniów, handlujących galanterią i dewocjonaliami na trasie Astra-*

Obrażnicy wędrowali grupami. Jeden bardziej przedsiębiorczy miał bazę główną, w której zapatrywali się w towar członkowie grupy. Porozumiewali się oczywiście „kminą ochweśnicką”. Zasięg handlu skulskich obraźników był wielki. Obejmował nie tylko całą Kongresówkę, ale także i całą Białoruś i zachodnią Ukrainę. Spotykać można było skulskich obraźników nawet w okolicach Smoleńska. Istniały także w Polsce i inne ośrodki obraźnicze. W wielkopolskim Starym Krotoszynie zachowała się do dziś tradycja „języka obraźnickiego”. Język ten zna tam jednak zaledwie kilkadziesiąt osób, i to bardzo ograniczoną ilość jego wyrazów. W Skulsku żargon ten także wymiera. Jedyne w Ślesinie żyje nadal w pełnym rozkwicie. Żargon obraźnicki ma wiele wspólnego z żargonem złodziejskim, z którego sporo słów spopularyzowały felietony Wiecha. Wiemy więc dobrze, że kimać znaczy spać, troić znaczy jeść, hopki to pieniądze, mikrus to mały itd. Lecz „kmina ochweśnicka” jest znacznie bogatsza. Obok troić — jeść, mamy trojana — jedzenie, truja — usta. Obok kimać — spać, jest kimka — noc, kimadło — łóżko itd.

Obrażnicy w handlu swoim doznawali licznych przygód. Handel ich nie miał bynajmniej charakteru tajnego. Obrażnik zaraz po przybyciu do wsi, zgłaszał się oficjalnie do sołtysa, który śpiesznie powiadamiał wieś o przybyciu handlarza. Goszczenie obraźnika było niejako przywilejem. Każdy więc chętnie zabiegał, aby obraźnik zatrzymał się w jego chacie. Gdy się wieś zgromadziła, handlarz wchodził na stół. Modlił się, rozdzielał następnie obrazki i błogosławieństwa. Dopiero po tym wstępie zaczynała się sprzedaż „medycyny” i obrazów. Opowiadają o przygodzie, jaka zdarzyła się jednemu z obraźników, który przez kilka sezonów nie mógł znaleźć nabywcy na pewien obraz. Inne szły od ręki, a ten właśnie ciągle mu zostawał. Zdenerwowany obraźnik, przechodząc przez las, powiesił obraz na drzewie i solidnie obił kijem. Zapowiedział przy tym świętemu, którego wizerunek obraz przedstawiał, że codziennie portret jego dostanie takie lanie. Święty najwidoczniej przeraził się groźby, gdyż zaraz w następnej wsi obraz jego został sprzedany jako pierwszy.

(P. S.)

Niekiedy obraźnicy żerowali na przesądach ludności. Jeden z nich przyszedł do wsi, do chałupy gospodyni, której mąż był nieobecny. Kobieta właśnie wkładała ciasto chlebowe do pieca. Propozycję kupna obrazu zbyła odmową. Obrażnik powiedział kilka słów po ochweśnicku, zagwizdał, przed domem narysował znak na piasku i poszedł. Kobieta pobiegła za nim i długo błagała, aby wrócił, zmasał znak, odgwiszdał i odzegał to, co powiedział. Następnie nabyła bez targu kilka obrazów. Przez ten czas chleb w piecu się spalił.

Po pojawieniu się oleodruków obraźnicy zaczęli sprzedawać je

obok własnych obrazów. W pewnej wsi kobieta zgodziła się na kupno obrazu patrona swego męża, Marcina. Obrażnik wskazał pierwszy z brzegu obraz, twierdząc, że to jest właśnie św. Marcin. Kobieta jednak upierała się, że św. Marcin jest zawsze na białym koniu. Obrażnik sięgnął więc do oleodruków i sprzedał podobiznę... Wilhelma I na koniu. Dopiero mąż, umiejący czytać, po powrocie ujawnił oszustwo obraźnika.

Na zakończenie, by w pełni okazać niezrozumiałość „mowy obraźniczej“, podajemy jeszcze jedną próbkę tego żargonu wraz z polskim tłumaczeniem:

Slesin to klawośny kielec. Wsiacki skiciok ze Slesina klawośno tryni Stykloją się bitu klawośno karygi i skraby. Manus zadulił ganca i lipuje jak mankiego karyżka tryni. Manki opulił konitur kiry, pętowę i wołówko, stachcił parzych i biteż tryni. Przypnajał się głuporny błych i roztachcił mankiemu trojanę na benklu. Manki dziaknął bitymu kops. Bityn jugnął kaniolę i przez dźwiruchy sknawał z chazy. Na stradze jorał się jeszcze po styi. Wsiackie świdziory pnajały za bitym błychem koronowanym. Niech bityn znachci, jak się wieść w kapeli.

Przypnajać do Slesina. Bitu klawośno. Stykło się łoks, dylka. poso trojany. Można kimać w kołydze na masule, bijak nie siewiarno. Stykło się bityż kimanic w chazie w kimadle pod purchową. Przyjardolcie w bitym jarkusie do manusa.

(Slesin to ładne miasto. Każdy chłopak ze Slesina ładnie tańczy. Są tu ład-

nc panny i mężatki. Ja zapaliłem papierosa i patrzę, jak moja panna tańczy. Kupiłem dzban wódki, kielbasę i piwo, zdjąłem kożuch i też tańczę. Podszedł głupi cham i rozrzucił mi jedzenie po stole. Dałem mu lanie. On wziął czapkę i przez drzwi uciekał z domu. Na drodze jeszcze drapał się po plecach. Wszystkie dzieci biegły za tym chamem koronowanym. Niech on wie, jak się zachować w gospodzie.

Przybądźcie do Slesina. Tu ładnie. Jest las, woda, dużo jedzenia. Można spać w stodole na słomic, jeśli nie zimno. Można też spać w domu w łóżku pod pierzyną. Przyjedźcie w tym roku do mnie).

Może ta mała próbka „języka ślesieńskiego“ zachęci czytelników do odwiedzenia tych stron.

Zygmunt Pęcherski

## RUINY DWORU OBRONNEGO W WIERUSZYCACH (pow. bocheński)

Marian Kornecki

W niewielkim oddaleniu od Łapanowa, na wzgórzu ponad malowniczą na tym odcinku doliną rzeki Stradomki, wznoszą się mało znane ruiny dworu obronnego w Wieruszycach. Ruina osłonięta z trzech stron zadrzewieniem nie jest widoczna z prze-

biegającej poniżej drogi; dojdzie do niej prowadzi stromą zdziczałą aleją dojazdową.

Dwór piętrowy, wzniesiony z kamienia z fragmentarycznym użyciem cegły, w narożnikach ujęty jest blokami z ciosu. Zbudowany na planie

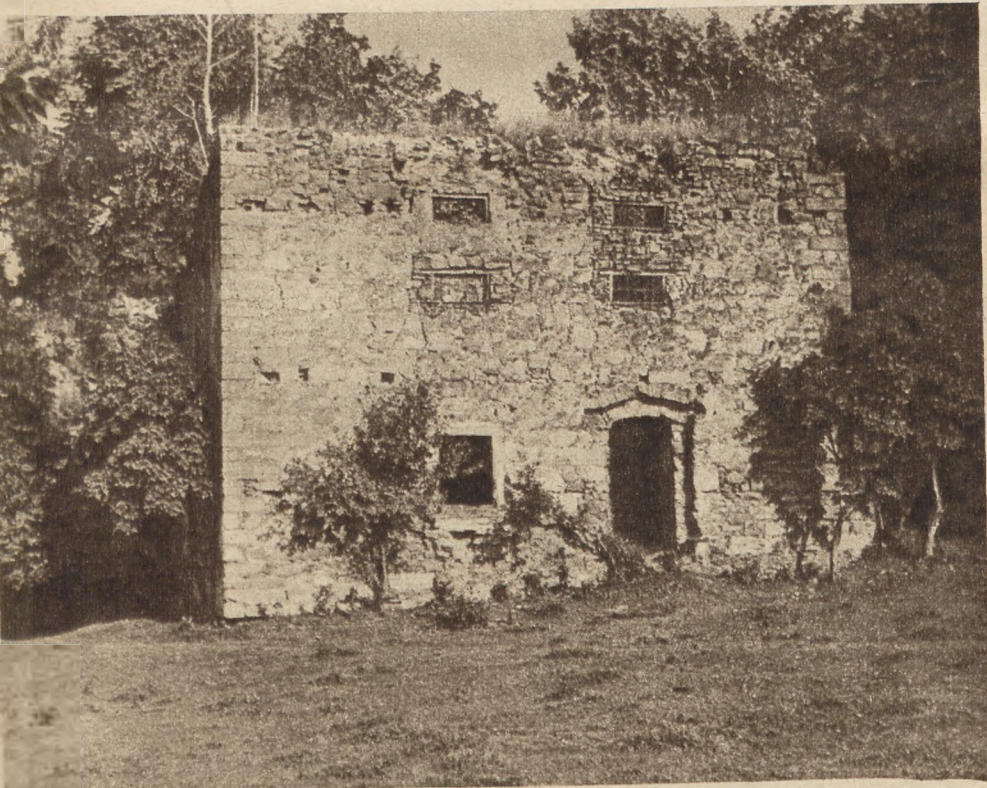
prostokąta zbliżonego do kwadratu z okrągłą, oszkarpowaną basztą przy jednym z narożników. Wnętrze, obecnie całkowicie zrujnowane, zawierało w głównym korpusie cztery pomieszczenia, przykryte sklepieniami kolebkowymi z lunetami. Zachowały się fragmenty kamieniarki renesansowej: niektóre obramowania okienne i resztki nadproży wejść.

Budynek pochodzi z I połowy XVI wieku (być może wzniesiony został w r. 1531 — data na jednym z nadproży). Obiekt z dawna przemieniony został w spichlerz, w początku XX wieku częściowo znajdował się już w ruinie, jednakże nakryty był

jeszcze wtedy malowniczymi dachami gontowymi: na korpusie dwoma równoległymi siodłowymi, nad basztą — stożkowym.

Zameczek w Wieruszycach stanowi interesujący przykład obronnego dworu renesansowego o znacznej wartości zabytkowej.

W najbliższej okolicy, na wzgórzu ponad Stradomką, wznosił się niegdyś średniowieczny zamek obronny w Chrostowej, uległ jednak całkowitemu zburzeniu i pozostały po nim zaledwie ślady. W czasie ostatniej wojny przypadł zaś nowszy nakryty dachem łamanym dwór w Wieruszycach, usytuowany opodal zameczka.



▲ Wieruszycy, powiat Bochnia — ruiny dworu obronnego z XVI wieku. Stan obecny

Fot. Marian Kornecki

➔ Wieruszycy, powiat Bochnia — ruiny dworu obronnego, według dawnej fotografii sprzed I wojny światowej. Archiwum Kons. Woj. w Krakowie





↑ Przed jesiennym przegonem, konni pasterze formują stado w konwój na rozległej płaszczynie otaczającej Tworylne



# Bieszczady jakich nie znacie

TEKST I ZDJĘCIA  
WOJCIECH PLEWIŃSKI

Któż z nas nie czytał powieści Zane Grey i nie marzył o przygodach cowbojskich na stepach Nowego Meksyku czy Arizony? Gdy szedłem do Tworylnego, wiedziałem że życie pasterzy bywa w Bieszczadach jest niezwykle, ale nie spodziewałem się ujrzeć i usłyszeć tego, co we fragmentach zaledwie przedstawia mój opis i zdjęcia.

Szedłem z obawą. Nie wiedziałem mianowicie, czy ich jeszcze zastanę. Właśnie zbliżała się pora wielkiego, jesiennego przegonu bydła w doliny. Podhalańscy bacowie pędzili już swoje stada owiec ku stacjom kolejowym. Idąc drogą wzdłuż kamienistego łożyska Sanu, pilnie patrzyłem pod nogi. Przegon bydła musiałby pozostawić ślady tysięcy racic. Śladów jednak jeszcze nie było.

Tworylne — to obecnie pojęcie tylko geograficzne. Łagodne wzniesienie w zakolu Sanu otacza dokoła amfiteatr gór. Pokrzywy, zawałone studnie i piwnice, zarośnięte krzewami ruiny wskazują miejsce, gdzie niegdyś rozciągała się spora wieś.

Poza kępą starych lip, wewnątrz drewnianego ogrodzenia gęsto stłoczone łaciecie grzbiety krów. Kilku zachrypniętych, zmęczonych wyraźnie ludzi przegania bydło do mniejszego okólnika. Pojedyncze sztuki prowadzą kolejno na wagę. Jutro konwój ruszy w doliny — dziś sprawdza się stan pogłowia i sporządza spisy bydła, które na cały sezon państwowe gospodarstwa rolne powierzyły pasterzom.

Mariusz Merski i Henryk Victorini (studenci weterynarii) już trzecie lato spędzili na siodłach. Rozumiem ich doskonale — życie konnego pasterza w Bieszczadach ma tę przewagę nad przygodami Hopalong Cassidy, że nie czyta się tu o przygodach z kartek powieści, lecz przeżywa się je naprawdę.



↑ Na miejscu dzisiejszych ruin stały niegdyś zabudowania wsi Tworylne



↑ Studenci weterynarii Mariusz Merski i Henryk Victorini



← (z lewej) — Pies Raf w kolczastej obroży



← (z lewej u dołu) — Zaraz po drugiej stronie Sanu udało się autorom podpatrzeć jelenia na rykowisku

(poniżej) — kolczykowanie bydła







↑ *Przed jesiennym przegonem, konni pasterze formują stado w konwój na rozległej płaszczynie otaczającej Tworylne*



↑ *Na miejscu dzisiejszych ruin stały niegdyś zabudowania wsi Tworylne*



↑ *Studenci weterynarii Mariusz Merski i Henryk Uictorini*





O przygodach opowiadają mi dopiero wieczorem, gdy zdmuchnąwszy lampę wsunęliśmy się do spiworów. Opowiadają o ośmiu napadach wilków na stada — z tego sześć odparto, a dwa pozostały w zagrodzie trupy krów (teraz rozumiem, dlaczego obroża psa Rafa najeżona jest długimi kolcami). O burzy nocnej, która wprawiła bydło w obłądny strach i spowodowała ucieczkę całego stada po wyłamaniu ogrodzeń. Przy świetle błyskawic całą noc ścigano wówczas po górach rozpierzchnięte stada. Widziano, jak konie wypuszczane na paszę nieraz pały się na polanach razem z jeleniami. Zanim zapadłem w kamienny sen, przypomniałem sobie, że jeszcze jeden fakt dopełnia niezwykłości dzisiejszego noclegu. Oto kwatery pasterzy — domek z płyt pilśniowych — mieści się dokładnie w tym miejscu, gdzie przed laty znajdowała się główna kwatera „banderowców”.



Ranek wstaje pogodny. Budzi mnie ryk jeleni z za Sanu. Brnę za chwilę w mokrej, wysokiej do kolan trawie. Za urwistym zakrętem rzeki na niewielkiej łączce dostrzegam dwa walczące byki. Rogi przy zderzeniu wydają odgłos podobny do klekotu kół wozu na piaszczystej drodze. Zanim jednak przebrnąłem przez wodę i wdrapałem się przez krzaki na wysoki brzeg, chroniąc teleobiektyw za koszulę — walka była skończona. Jeden z rywali zniknął w gąszczu, drugiego widzę wyraźnie, prosto pod wschodzące słońce. Przez chwilę ryczy groźnie i orze rogami ziemię. Zanim poderwie się do biegu — strzelam kamerą.

Gdy wracam do baraku, zastaję tam już konnych konwojentów, którzy mają pomagać w przeprowadzeniu stad w doliny. Konwój formuje się na rozległej płaszczyźnie. Podziwiam sprawność pasterzy. Ze stada pędzonego galopem oddzielają oni na bok sztuki słabe, które pójda osobno. Stado stopniowo wydłuża się i niby olbrzymi wąż wchodzi w kamienisty wąwóz i znika wreszcie za horyzontem. Obóz opustoszał zupełnie. Dopiero następnego roku z pierwszą trawą pojawią się tu znów ludzie i ich stada.



← Drewniane ogrodzenie wypełniają gęsto stłoczone grzbiety krów

▣ Wydłużony konwój stad bydła opuszcza Tworylnę i przechodzi w Dolinę Sanu



# PROBLEM NIEDZICKIEJ LEGENDY

Anna Kowalska Lewicka

(Dokończenie)

Na przeciąg stu lat zapanowuje w Peru pokój, jeśli pokojem nazwać można bezprzykładny terror i ustawiczne akty gwałtu dokonywane na bezbronnych Indianach. Ale już pod koniec XVII w. zaczynają się pierwsze ruchy wolnościowe. Wiek XVIII, czyli końcowa faza okresu kolonialnego i osłabienia ucisku, jest w historii Indian okresem odrodzenia patriotyzmu i dawnych tradycji. Różnie autorytet arystokracji indiańskiej, zwłaszcza potomków Inki. Posiadają oni znaczne majątki, bardziej wpływowi otaczają się dworem i przestrzegają ubioru, sposobu życia i ceremoniału panującego niegdyś na dworze władców w Cuzco.

W tej właśnie atmosferze wyrasta postać José Gabriela Tupaca Amaru, bogatego arystokraty. Nie posiadamy dziś dowodów na to, że był on istotnie w prostej linii potomkiem Inków, niemniej jest to wielce prawdopodobne<sup>12</sup>. Nie wiadomo też dziś, czy przed objęciem dowództwa sił powstańczych nosił on imiona Tupac Amaru, czy też przybrał je dla podniesienia swego autorytetu i przypomnienia współrodakom bohatera narodowego z XVI w.

Dość na tym, że w sierpniu 1779 wybucha powstanie Indian peruwiańskich, które potem przenosi się na obszar dzisiejszej Boliwii. W listopadzie roku 1780 dowództwo obejmuje José Gabriel Tupac Amaru. Po nieudalym oblężeniu Cuzco, w maju 1781, armia powstańcza zostaje pobita, a Tupac Amaru ujęty i stracony na placu centralnym w Cuzco, podobnie jak to się stało o 210 lat wcześniej z jego imiennikiem. Rebelia nie wygasa jednak. Na widownię wysuwają się dalsi wodzowie, a wszyscy mienia się krewnymi i spadkobiercami Tupaca Amaru. Na terenie Boliwii pojawia się nowy wódz, Andrés Tupac Amaru, który mówi o sobie, że jest synem i spadkobiercą José Gabriela. Dotąd nie zostało ustalone, kim był naprawdę i skąd przybył. Aby ulegalizować swe stanowisko, legitymował się piśmem José Gabriela, datowanym 1 lipca w Tinta (a więc pisanym rzekomo przez niego więcej niż w miesiąc po egzekucji), gdzie José Gabriel przekazuje mu testamentem swą „ojcowską” władzę. Po nieudalym oblężeniu La Paz Andrés Tupac Amaru znika z widowni, lecz nad ostatnimi epizodami rebelii zdaje się wciąż unosić duch José Gabriela. Jego krewni, prawdziwi i fikcyjni, wciąż jeszcze w oparciu o jego autorytet dominują na scenie wydarzeń tego czasu. W maju 1783 raz jeszcze wybucha rebelia, kierowana przez osobistość tytułującą się Felipe Velasco Tupac Inca Yupanqui. Nowy ród powołuje się na pokrewieństwo z José Gabrielem, a ducha bojowego Indian zagrzewa opowiadaniem, że José Gabriel żyje i zasiada na tronie imperialnym w kró-

lestwie Paititi. Ale i to powstanie zostaje zgniecione. Jest ono ostatnim z cyklu rebelii nazwanych od osoby najwybitniejszego przywódcy powstaniem Tupaca Amaru.

Po upadku powstania przychodzi okres terroru, a co gorsze, okres zupełnego załamania się psychicznego Indian. Arystokracja kierująca ruchami wolnościowymi tego okresu zostaje częściowo wygubiona, częściowo zhispanizowana, reszta schodzi do roli chłopów i proletariatu indiańskiego.

Powstania XVIII wieku nie miały na celu walki z królem i Kościołem, a tym bardziej z ówczesnym ustrojem. Zło dostrzegano tylko w nadużyciach miejscowych urzędników hiszpańskich i głównie przeciw nim kierowała się akcja powstańcza. Dlatego też powstańcy znajdowali wielu sympatyków wśród światlejszych warstw hiszpańskich, a zwłaszcza wśród kleru. Ponieważ jednak Indianie nie posiadali własnych kronikarzy, a ówczesni historycy hiszpańscy znali wydarzenia głównie od swej strony, organizacja ruchów powstańczych, wzajemny kontakt grup operujących w różnych częściach kraju, osoby wodzów i ich losy po upadku rebelii (z wyjątkiem samego Tupaca Amaru) nie są dziś zupełnie znane. Z całej historii Peru okres powstań kryje najwięcej tajemnic, które wobec braku źródeł zapewne nigdy nie zostaną wyjaśnione<sup>13</sup>.

W tym świetle udział w powstaniu Sebastiana Berzeviczego, jego małżeństwo z Indianką, udział w powstaniu, małżeństwo jego córki z jakimś prawdziwym czy fikcyjnym krewnym Tupaca Amaru jest prawdopodobne i nie należy dziwić się, że nie pozostawiło żadnych śladów w kronikach ówczesnych. Dziwne nieco jest tylko imię córki Sebastiana: Umina, gdyż już wtedy wszyscy szlachetnie urodzeni Indianie, a tym bardziej metysi jak Umina byli chrześcijanami i nosili obok indiańskich imiona chrześcijańskie (choćby przywódcy powstań).

Nieco niejasno w świetle dat przedstawiają się dalsze dzieje rodziny Sebastiana. Powstanie zostaje bowiem ostatecznie zgniecione w r. 1783, czyli Umina musiała wyjść za mąż przed tym rokiem, o ile nie przed rokiem 1781, bo wtedy zginął właściwy Tupac Amaru, który — jak tradycja rodzinna Beneszów głosi — oddał swego krewnego Sebastianowi za zięcia (w dowód wdzięczności za zasługi w powstaniu). Weźmy już jednak jako datę ślubu Uminy rok 1783. Od tego czasu młode małżeństwo żyje spokojnie i bezdzietnie we Włoszech przez lat około czternaście, po czym nagle w ciągu kilkunastu miesięcy wypadki zaczynają biec z zawrotną szybkością. Przychodzi na świat mały Antonio, jedyny syn Uminy i spadkobierca

Tupaca Amaru, ginie zaszytletowany mąż Uminy, cała rodzina wyjeżdża do Niedzicy (Włochy — Niedzica w tym czasie to nie było jakaś podróż), ginie Umina, Waclaw adoptuje Antonia, ginie wreszcie sam Sebastian — a więc w tym krótkim czasie jedne narodziny i trzy śmierci, nie licząc innych wydarzeń.

Przejdźmy z kolei do historii rodu Berzeviczych. I tu również napotykałyśmy cały szereg tajemnic. Tytuły, jakich używa na dokumentach Waclaw, dowodzą, że ci właśnie Berzeviczy'owie pochodzą z polskiej linii, jaka tu przybyła z Batorym, gdyż tylko ona nosiła tytuł baronów de Dondangen (od posiadłości w Inflantach). Na nasze nieszczęście, jeśli wierzyć herbarzom: Niesieckiego, Bonieckiego i Uruskiego, rodzina ta wygasa w połowie XVII w.<sup>14</sup> Może jakaś jej gałąź wywędrowała na Węgry i dlatego nie objęli jej polscy heraldycy, ale o tym po pierwsze nie wspominają cytowane dzieła, po wtóre Berzeviczy'owie mieszkający na Węgrzech chyba nie porozumiewali się między sobą językiem polskim (który przecież nigdy nie był ich językiem rodzinnym), i to tak czystym, jak na to wskazuje dokument adoptacyjny.

Sebastian, żołnierz i podróżnik, musiał być niewątpliwie wybitną postacią swego czasu. Dziwi nas więc trochę, że nie spotykamy jego osoby w nader szczegółowym słowniku biograficznym obejmującym ówczesną Austrię i Węgry, gdzie mowa o kilku Berzeviczych, którzy — jak wynika z opisu ich życia — znacznie mniej dokonali niż Sebastian<sup>15</sup>.

Zastanawiająca jest również zmiana nazwiska z Berzeviczy na Benesz. Andrzej Benesz tłumaczy ją w taki sposób: Ferdynand Berzeviczy, wnuk Marcina, protoplasty polskiej linii (o Ferdynandzie i jego ojcu, a synu Marcina, Mikołaju, polskie herbarze milczą), urodzony w r. 1624, żeni się z Morawianką Barbarą Benesz de Krawasz (1636—1741, czyli żyła 105 lat). Barbara opuszcza męża i wyjeżdża do Czech zabierając z sobą synów, z których jeden będzie później ojcem Sebastiana. W ten sposób oderwała synów od reszty rodziny Berzeviczych i narzuciła im swe nazwisko. Odtąd przez trzy pokolenia podpisywać się oni będą Benesz de Berzeviczy z dodatkiem polskiego baronowskiego tytułu de Dondangen, aż dopiero Antonio, pierwszy w tym rodzie, zarzuca nazwisko Berzeviczy baron de Dondangen, a zadowala się samym nazwiskiem Benesz.

Otóż w historii tej tkwią dwie niejasności, których na razie nie potrafimy wytłumaczyć. Po pierwsze: kim była właściwie Barbara Benesz de Krawasz? Niewątpliwie musiała być szlachcianką, bo niemożliwe jest, aby w połowie XVII w. przedstawi-

ciel tak starożytnego rodu jak Berzeviczych ożenił się z kobietą innego stanu. A tymczasem wedle najnowszego i drobiazgowo opracowanego dzieła Pilnacka<sup>17</sup>, jedyni Beneszowie szlachta wymierają w w. XIV. Istnieje co prawda rodzina morawska, która coś z imieniem Benesz ma wspólnego, ale ci noszą nazwisko Studnicki tylko z dodatkiem „z Benesova“ i o nich zresztą też głucho po XVI w. O Beneszach de Krawasz nie ma tam ani słowa. Dość należy, że po klęsce pod Białą Górą niemal doszczętnie wyginęła szlachta czesko-morawska, wobec czego nieliczne rodziny, które przetrwały, są dokładnie znane i szczegółowo opisane. Autor jest nawet tak dokładny, że zajmuje się starymi i wybitnymi rodami mieszczańskimi, doprowadzając ich historię do XX w., ale i wśród nich brak Beneszów.

Jeśli więc Barbara Benesz posiadała nawet szlachectwo, musiała pochodzić z rodu zupełnie nieznanego. Dziwne więc się wydaje, że Berzeviczy'owie, należący do najstarszej arystokracji Węgier, których ród już w XIII w. stanowił podporę korony, przybrali do swego nazwiska tak nic nie znaczące miano jak Benesz. Jeszcze bardziej niepokojący staje się fakt, że Antonio, którego przybrany ojciec podpisywał się jeszcze pleno titulo, porzuca nazwisko rodowe, ograniczając się do samego Benesza. Dzieje się to gdzieś z początkiem XIX w., kiedy — jak wiemy — szlachectwo było jeszcze sprawą nader istotną, a dobrowolne jego wyrzeczenie zdaje się zupełnie nieprawdopodobne.

Pozostaje nam jeszcze ostatnia możliwość natrafienia na ślady tajemniczej linii Berzeviczych i epilogu powstań indiańskich. Szukajmy ich w Niedzicy<sup>18</sup>.

Zamek niedzicki istotnie zbudowali Berzeviczy'owie — pierwsza wzmianka o nim pochodzi z r. 1325. Nazywa się wtedy Dunajecz (Dunajec), którą to nazwę przez wiele wieków zachowuje. W r. 1470 Berzeviczy'owie tracą zamek bezpowrotnie i nigdy już go nie odzyskują. W czasie kiedy więc tutaj przebywa Sebastian, zamek od przeszło trzystu lat jest w rękach innych rodów.

Wydarzenia niedzickie nie pozostawiły żadnego śladu w archiwum parafialnym Niedzicy. Nie ma tam wymienionego ani razu nazwiska Berzeviczy, nie ma też śladu po śmierci i pogrzebie Uminy. Zastanawiający wydaje się również fakt pochowania Uminy pod basztą kapliczną, zwłaszcza że właściciele zamku posiadali własną kryptę pod kościołem, gdzie chowano zarówno ich, jak i zmarłych członków rodziny Joanelich, którzy w tym mniej więcej czasie trzymają zamek wraz z okolicznymi wsiami tytułem zastawu. Ponadto wtedy już obowiązywał zakaz

chowania zmarłych poza obszarem kościołów i cmentarzy.

Piwnice pod basztą kapliczną w Niedzicy zostały już za Paloczayów zamurowane i odtąd nikt ich nie odwiedzał: Salamonom, którzy przecież po kądzieli wywodzili się od Paloczayów (a więc tradycja rodowa nie została zerwana) nic o trumnie Uminy nie było wiadomo. Czy spoczywa ona w podziemiach zamkowych, mogą wyjaśnić tylko prace konserwatorskie, które w tym roku mają być prowadzone na wielką skalę.

Po naszej, pobieżnej zresztą, analizie dokumentów i wypadków nie możemy ostatecznie wykluczyć prawdziwości legendy niedzickiej albo przynajmniej jej części, nie mamy też jednak żadnych podstaw, by uważać ją za prawdę. Nie mamy w rękę ani jednego pewnego dokumentu i ani jednej pewnej relacji. Każdy wątek opowiadania rwie się nam w rękach. Dokumenty gdzieś

przepadły, świadkowie nie żyją, opracowania historyczne nic na ten temat nie mówią. Nawet w archiwum rodzinnym Beneszów nie ma śladów całej tej amerykańskiej awantury<sup>16</sup>.

Legenda niedzicka pełna jest uroku i fantazji i nie ma powodu jej rozwiewać. Jak owa tajemnicza biała dama wędrująca przy blasku księżyca po murach górnego zamku, tak dziś quipu i dzieje nieszczęśliwej Uminy spoczywającej gdzieś w lochach w srebrnej trumnie, stały się atrakcją dla licznych rzesz turystów zwiedzających Niedzicę. I czyż nie jest ciekawe, że bodaj najbardziej romantyczna, w każdym razie najbardziej egzotyczna z polskich legend powstała na naszych oczach, że niejako asystowaliśmy przy jej narodzinach?

Niewątpliwie o „skarbie Inków“ będzie się jeszcze sporo pisało, pozwalam sobie więc tylko wystąpić

z pewną prośbą do osób zamierzających w przyszłości zabrać głos w tej sprawie. Dopóki nie znajdzie się oryginał dokumentu adoptacyjnego i quipu, dopóki nie wyjaśni się jeszcze wiele, wiele zawiłych spraw, niech nie umieszczają w nagłówkach swych artykułów kategorycznego stwierdzenia: „historia ta jest prawdziwa.“

## PRZYPISY:

<sup>16</sup> Inkowie posiadali liczne haremy. Wszystkie dzieci jednego Inki z jego żoną i nalożnicami tworzyły jedno ayllu, czyli wspólnotę rodowo-terytorialno-majątkową. W chwili przybycia Hiszpanów było 11 królewskich ayllów. W r. 1603, po masakrach, wojnach domowych i epidemiach ospy żyło jeszcze, wedle ówczesnych spisów, 567 męskich potomków Inków. W wieku XVIII, przy wzroście dobrobytu i samodzielności Indian, mogło ich być co najmniej tyleż.

Powyższe dane podają za: J. H. Rowe, *Inca culture at the time of the Spanish conquest*. Handbook of S. A. Indians, vol. 2. Washington 1946.

<sup>17</sup> Porównaj: G. Kubler, *The Quechua in the colonial world*. Handbook of S. A. Indians, vol. 2. Washington 1946.

<sup>18</sup> Kasper Niesiecki, *Herbarz polski*. Lipsk 1839. Adam Boniecki, *Herbarz polski*. Warszawa 1899. Seweryn Uruski, *Rodzina, herbarz szlachty polskiej*. Warszawa 1904.

<sup>19</sup> Biographisches Lexicon des Kaiserthums Oesterreich enthaltend die Lebensskizzen der denkwürdigen Personen, welche 1750 bis 1850 im Kaiserstaate und in seinen Kronländern gelebt haben, von Dr Constant v. Wurzbach. t. I. Wien 1856.

<sup>20</sup> Powyższe dane cytuję wedle załączonej do papierów złożonych w Urzędzie Konserwatorskim ręcznie spisanej na kałku papieru genealogii Berzeviczych, oraz informacji Andrzeja Benesza.

<sup>21</sup> Josef Pilnacek — *Staromoravští rodové*. Wiedeń. 1930.

<sup>22</sup> Dane historyczne o zamku niedzickim — patrz: *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*. Warszawa 1886. t. VII (o Niedzicy s. 59—63).

<sup>23</sup> Wiadomość od Andrzeja Benesza.

## KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ

### COMING EVENTS IN BRITAIN

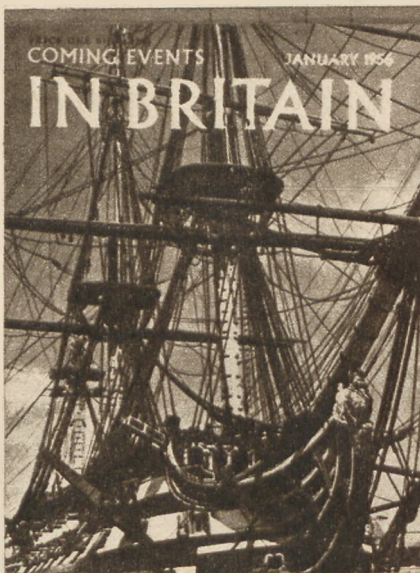
Dwieście lat temu grasował na angielskich drogach słynny Dick Turpin. Pod groźbą pistoletu zatrzymywał dylizanse pocztowe rabując podróżnych. Sława jego sięgała daleko. Zнали go dobrze właściciele stacji pocztowych. Jeszcze dziś podróżnym, którzy zatrzymują się w gospodzie Jerzego w Huntingdon pokazuje się przez niewielki otwór w ścianie wnętrze alkowy. W głębi wisi czarny kapelusz stosowany i fałdzisty czerwony płaszcz. To pamiątki po słynnym rozbójniku.

Tej ciekawostki wraz z szeregiem innych informacji dotyczących tradycyjnych gospód brytyjskich dostarcza nam październikowy numer „Coming Events in Britain“, ilustrowanego miesięcznika wydawanego przez „British Travel and Holidays Assotiation“.

„We wszystkich dobrych powieściach roi się od gospód“ — miał się wyrazić kiedyś pewien znany krytyk literacki. I rzeczywiście — jak pisze „Coming Events“ — gospody były ulubionymi miejscami, w których słynni pisarze angielscy lokowali sceny swych powieści. Spośród nich warto wspomnieć choćby Dickensa, który tak doskonale oddał przytulną i gościnną atmosferę starej angielskiej gospody, że dziś po prostu określa się ją mianem „dickensowskiej“. Ale bo też gospody od XIII wieku po dzień dzisiejszy niezwykle silnie zrosły się z psychiką społeczeństwa brytyjskiego. Gospoda angielska to nie tylko hotel i restauracja. To również miejsce spotkań towarzyskich gier i zabaw. To wreszcie centrum życia społecznego i politycznego prowincji.

Gospody brytyjskie szczycą się swymi dawnymi tradycjami i trzeba przyznać, że są to tradycje naprawdę imponujące. Taka na przykład gospoda w Nottingham, zwana „Drogą do Jeruzolimy“, służy już podróżnym od 750 lat! Tu, w tej starej oberży wykutej częściowo w litej skale, na której szczycie wznosi się zamek Nottingham, zbierali się niegdyś krzyżowcy, ruszający do Ziemi świętej. Gospoda angielska już z dala

wyróżnia się barwnym, pomysłowym szyldem. Początki szyldów, podobnie jak i gospód, sięgają głębokiego średniowiecza, kiedy rzadko kto umiał czytać. Do ówczesnego klienta przemówić mógł więc tylko atrakcyjny obrazek szyldu. Mnożyły się tedy szyldy przedstawiające anioły i smoki, lwy i jednorożce, odyńce i ptaki. Dziś, dzięki przywiązaniu do tradycji, liczba kolorowych szyldów



nie tylko nie zmniejsza się, ale przeciwnie — z każdym rokiem wzrasta. Wykonywanie ich zaś niejednokrotnie powierza się nawet wybitnym artystom.

Zanim wzgardzisz skromnym wnętrzem gospody, spójrz na jadalnię — radzi na koniec „Coming Events“. Gospody brytyjskie bowiem starają się reprezentować lokalne odmiany potraw i napojów.

„Coming Events“ propaguje turystykę i krajoznawstwo we wszelkich postaciach. „Zwiedzaj Anglię króla Artura we własnym samochodzie!“

„Po raz pierwszy zwiedzaj Anglię — koleją“, nawołują na jego łamach liczne reklamy. Miesięcznik stara się zachęcić turystę do zwiedzenia rozmaitych okolic Wysp Brytyjskich, informując go wyczerpująco o tym, w jaki sposób może się tam dostać i gdzie się może zatrzymać. Przede wszystkim jednak pismo stara się zaciekawić turystę pięknem danych okolic i wiążącymi się z nimi tradycjami. Tradycji tych dostarcza historia i literatura. O ilez bardziej przemówią do turysty pustkowie Highlandu, kiedy uświadomi sobie, że tu właśnie ukrywali się przed pościgiem bohaterowie powieści Stevensona „Porwany za młodu“.

Wachlarz zresztą zainteresowań miesięcznika „Coming Events“ jest bardzo bogaty. Obok opisów zamków i kościółków mamy artykuł o londyńskich licytatorach, dawnych i dzisiejszych, o walijskim rzemiośle pa-



nazw pociągom kursującym na poszczególnych liniach. Broni tych wszystkich „Latających Szkotów“, „Czerwonych Smoków“, i na zakończenie żartobliwie ostrzega, że jeśli koleje brytyjskie skasują te szumne i tak miłe dla podróżnych nazwy, to... „zacniemy jeździć samochodami“.

Wszystkie artykuły „Coming Events“ cechuje staranne opracowanie, bezpretensjonalność i niesłychanie miłe, subtelne poczucie humoru. Dodajmy do tego, że pismo wydawane na luksusowym kredowym papierze, rozporządza doskonałymi kolorowymi zdjęciami. Jego układ graficzny jest przy prostocie środków nowoczesny i estetyczny.

Ciekawa rzecz, że Anglia, kraj — zdawałoby się na pozór — tak silnie zurbanizowany i wobec tego w gruncie rzeczy pod względem krajoznawczym może nieciekawym, został na łamach „Coming Events“ przedstawiony jako kraina naprawdę uroczych zakątków. Anglia z „Coming Events“ to Anglia, o której mało wiemy z podręczników, prasy i filmu. Przedstawienie w ten sposób kraju nie było zapewne rzeczą łatwą. O ilez łatwiej byłoby to zrobić choćby u nas, w kraju chyba o wiele bardziej „egzotycznym“, w kraju, którego wsie i miasteczka kryją w sobie istne kopalnie niezwykłych wprost i nie znanych szerszemu ogółowi tematów krajoznawczych. Oczywiście trzeba by to zrobić umiejętnie. (L. Z.)

Brytyjskie Towarzystwo Podróży i Wczasów.

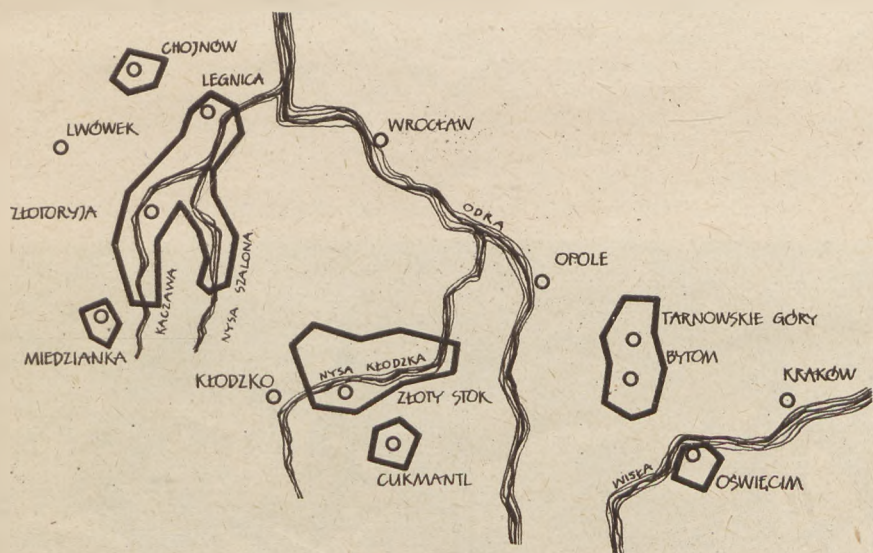
# DAWNE KOPALNIE ZŁOTA NA ŚLĄSKU

Tradycje górnictwa na Górnym Śląsku sięgają czasów bardzo zamierzonych. Jak świadczą wykopaliska, nad górną Odrą rudę żelazną wydobywano już w III w. przed n. e. i przetapiano ją w prymitywnych dymarkach. Oprócz tego eksploatowano na tych terenach złoża granitu, soli i rudy miedzianej. Silnie rozwinięte górnictwo i hutnictwo dostarczało wyrobów metalowych i kamiennych nie tylko na użytek rynku wewnętrznego, ale także na eksport.

Oprócz surowców zaspokajających codzienne potrzeby ludności wydobywano na Śląsku — o czym mało kto dziś już wie — złoto. Cenny ten metal, jak twierdzą archeologowie, wydobywano u nas co najmniej już od VI wieku n. e., to jest na długo przed przyjsciem na te tereny kolonistów niemieckich. Pierwsza jednak notatka archiwalna na ten temat pochodzi dopiero z XII wieku. Wiek XIII przynosi nam częste wzmianki o eksploatacji złóż złotonośnych w Złotoryi i w najbliższych jej okolicach.

Czternastowieczne zapiski mówią o kopalniach w Legnicy, Chojnowie, w Mikołajowicach, Strachowicach i w Księstwie Kłodzkim, gdzie głównym ośrodkiem był Złoty Stok, a poszukiwania sięgały na wschód aż pod Opole. Wydobywano też złoto w okolicach Miedzianki, Tarnowskich Gór i Bytomia, a także w Księstwie Oświęcimskim. Największymi ośrodkami na Dolnym Śląsku były Złotoryja i Złoty Stok, a na Śląsku Opawskim stare i bogate kopalnie w Cukmantlu.

Tereny złotodajne na Dolnym Śląsku



prawo kopania złota feudalom świeckim i duchownym, a także mieszczańskim. Ci ostatni zwłaszcza w XIII wieku szczególnie mocno interesują się kopalniami złota i chętnie lokują w nich swoje kapitały. Obok bogatych kupców i rzemieślników z Wrocławia, Swidnicy czy Krakowa, spotykamy tu również mieszczańskich obcych, głównie Niemców i Czechów. W tym to czasie powstają specjalne stowarzyszenia górnicze, tak zwane gwarentwa. Poszczególnym stowarzyszeniom nadawano prawa górnicze, które ustalały metody pracy, wynagrodzenie oraz zakres praw i obowiązków górnika.

Wówczas kiedy robotnikami w kopalniach byli Polacy, rekrutujący się spośród miejscowych chłopów, stanowiska majstrów zajmowali przeważnie cudzoziemcy. Posiadali oni niejednokrotnie bardzo wysokie kwalifikacje, umożliwiające eksploatację głębiej położonych złóż.

Szyby kopalniane osiągały nieraz zaskakującą, jak na ówczesną technikę, głębokość przeszło stu metrów, przy szerokości niewiele ponad metr. Długość chodników i sztolni dochodziła zaś, jak na przykład w sztolni św. Jakuba w Tarnowskich Górach, do 2400 metrów. Górnicy zjeżdżali do kopalni w wiadrach, w których potem wydobywano urobek. Złotonośną skałę, po wyciągnięciu na powierzchnię ziemi mielono w specjalnych młynach, poruszanych wodą, a następnie płukano w długich drewnianych korytach, gdzie złoto, jako cięższe, osiadało na dnie.

Złoto występowało bądź jako piasek w łożyskach rzek Kaczawy i Nysy Szalonej, bądź jako złoża rodzimego kruszcza. Kopalnie złota, tak jak i cała ziemia, były własnością księcia. Z czasem jednak, kiedy wyczerpano najpłytsze pokłady i dalsza eksploatacja wymagała wysoko wykwalifikowanych fachowców oraz nakładów pieniężnych, co często było połączone z niemalym ryzykiem, książęta zaczynają nadawać

Największym wrogiem górników była woda, zalewająca podziemne chodniki. Odprowadzano ją specjalnymi sztolniami lub też wypompowywano. W XVI wieku budowano już pompy poruszane siłą koni, które pompowały wodę na wysokość 30 metrów. Były one czynne bez przerwy dzień i noc. W razie jednak jakiegś awarii unieruchamiającej je na pewien przeciąg czasu, woda zalewała kopalnię, powo-

dując przy tym niejednokrotnie śmierć ludzi pracujących na dole. Dlatego też prawa górnicze przewidywały ogromne kary dla robotników opuszczających swe stanowiska pracy, co w niektórych wypadkach mogło spowodować katastrofę w kopalni. Wszelkie zamieszki i bunty, kiedy górnicy i hutnicy masowo porzucali pracę, powodowały unieruchomienie całych okręgów na długi okres, nie zawsze bowiem udawało się prędko naprawiać szkody wyrządzone przez wodę.

W XVI wieku często zdarzają się rozruchy wśród biedoty robotniczej. Warunki pracy w kopalniach były nie tylko bardzo uciążliwe, ale pociągały za sobą często śmierć lub kalectwo. Dla ofiar wypadku tworzone, co prawda, kasy zapomogowe, których fundusze urastały ze składek zbieranych wśród górników, najczęściej jednak przeciekały one do kieszeni starszyny i urzędników im tylko znanymi drogami.

Wiek XVI jest okresem, kiedy kopalnictwo złota chyli się do upadku, by wreszcie w następnym stuleciu zaniknąć zupełnie. Powodem tego było z jednej strony wyczerpanie bogatszych

złóż kruszcza, z drugiej zaś — napływ coraz większych ilości złota z Nowego Świata.

Trudno dzisiaj ustalić, ile tego cennego metalu wydobywano w dolnośląskich kopalniach. Jak podają szesnastowieczne zapiski, w Złotym Stoku wydobywano 10 kg kruszcza rocznie (0,21 grama ze 100 kg urobku), w Księstwie Legnickim zaś 120 grzywien tygodniowo. Dane te wydają się jednak przesadzone. Analiza geologiczna wykazuje, że kopalnie w Złotoryi do chwili ich zamknięcia w XVII wieku dały ogółem około 750 kg czystego kruszcza. Wielki ten ośrodek eksploatacji złóż złotonośnych zawdzięcza swój wspaniały rozkwit bogactwom ukrytym w okolicznych skałach i w korycie Kaczawy oraz położeniu na wielkim szlaku handlowym, biegnącym na wschód przez Lwówek, Legnicę i Wrocław.

Dziś Złotoryja jest niewielkim miastem, bardzo zniszczonym w czasie ostatniej wojny. Jedynie zachowane do naszych czasów zabytki architektury świadczą o bujności tętniącego tu niegdyś życia.

MIG



W roku bieżącym przypada pięćdziesiąta rocznica założenia Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, którego pierwsze zebranie statutowe odbyło się 3 grudnia 1906 roku w sali odczytowej Muzeum Przemysłu i Rolnictwa na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Styczniowy numer „Ziemi” przyniesie artykuł informujący o działalności tej wybitnie zasłużonej organizacji społecznej.

## REGIONALNE WYDAWNICTWA PTTK

Wiadomości nadchodzące ostatnio do redakcji pozwalają przypuszczać, że inicjatywa wydawnicza terenowych ogniw PTTK rozwija się coraz lepiej. Z Białegostoku, Krakowa, Poznania i Wrocławia otrzymaliśmy od tamtejszych okręgów i oddziałów egzemplarze recenzyjne map, przewodników i innych regionalnych wydawnictw krajoznawczych. Omówimy je w następnym numerze.

Sz szczególnie interesujący był list z oddziału gliwickiego PTTK informujący o zamiarze zorganizowania śląskiego kwartalnika krajoznawczo-turystycznego. Ilustrowane to pismo otrzymywać będą bezpłatnie wszyscy członkowie oddziału.

Warto zaznaczyć, że krajoznawcze wydawnictwa regionalne ukazują się ostatnio w coraz większej liczbie w Czechosłowacji, a w Niemieckiej Republice Demokratycznej (na 17 mln mieszkańców) wychodzą obecnie 204 czasopisma krajoznawcze, przy czym centralny miesięcznik (Natur und Heimat) ukazuje się w nakładzie 57 tys. egzemplarzy.

## ODKRYCIE W BOCHNI

Prof. Stanisław Warcholik nadesłał nam następującą wiadomość:

Niedawno natrafiono przypadkowo w Bochni na miejsce spoczynku głośnego reformatora, Szymona Zacjusza, magistra nauk wywołanych Akademii Krakowskiej. Działalność w latach 1540—1570 w Krakowie, na Litwie a następnie także i w Bochni, gdzie kazania swe wygłaszał w gospodzie żupy solnej, mniej więcej w tym miejscu, gdzie dziś mieści się zarząd żupy. Cieszył się on poparciem mieszczaństwa i urzędników, dysputy organizowane przez niego w domu żupnika Burzyńskiego miały duże powodzenie. Gdy władze kościelne usunęły Zacjusza z probostwa, wójt bocheński i dziedzic miasta, Mikołaj

Cikowski wraz z radą miejską ofiarowali mu zagrodę z ogrodem tuż przy bramie Krakowskiej. Tu Zacjusz żył, pracował i umarł, tu pochowano jego zwłoki. Ich autentyczność stwierdzono na podstawie dokumentów, przechowywanych w archiwum powiatowym. Dzięki staraniom prof. Warcholika i wydatnej pomocy p. Mariana Puzia, Miejska Rada Narodowa postanowiła upamiętnić miejsce pracy i spoczynku Zacjusza specjalną tablicą.

\* \* \*

Fakt nawiązania współpracy przez prof. Warcholika jest dla nas niezwykle cenny i przypisujemy mu niemal znaczenie symbolu. Prof. Warcholik reprezentuje bowiem pokolenie najstarszych działaczy krajoznawczych. On to w roku 1910 organizował na terenie Galicji kolportaż dawnej ZIEMI, wydawanej przez środowisko warszawskie.

1 Plan ogólny twierdzy Krzemionki

2 Fort św. Benedykta

3 Fort Krakus przed dewastacją

4 Twierdza Kraków ok. 1860 r.

5 Plan Rotundy w Zamościu

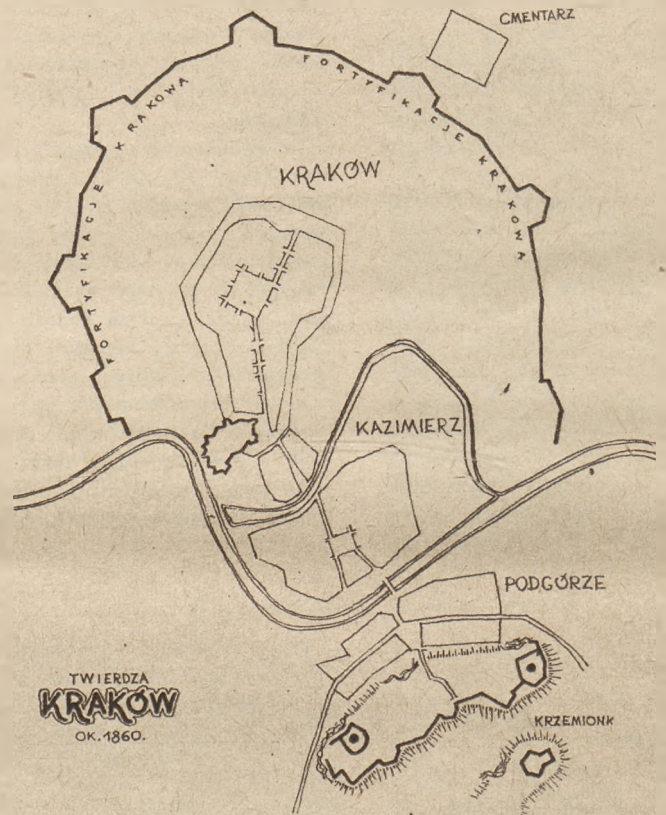
6 Klauza wg rysunku A. Dürera

JANUSZ BOGDANOWSKI

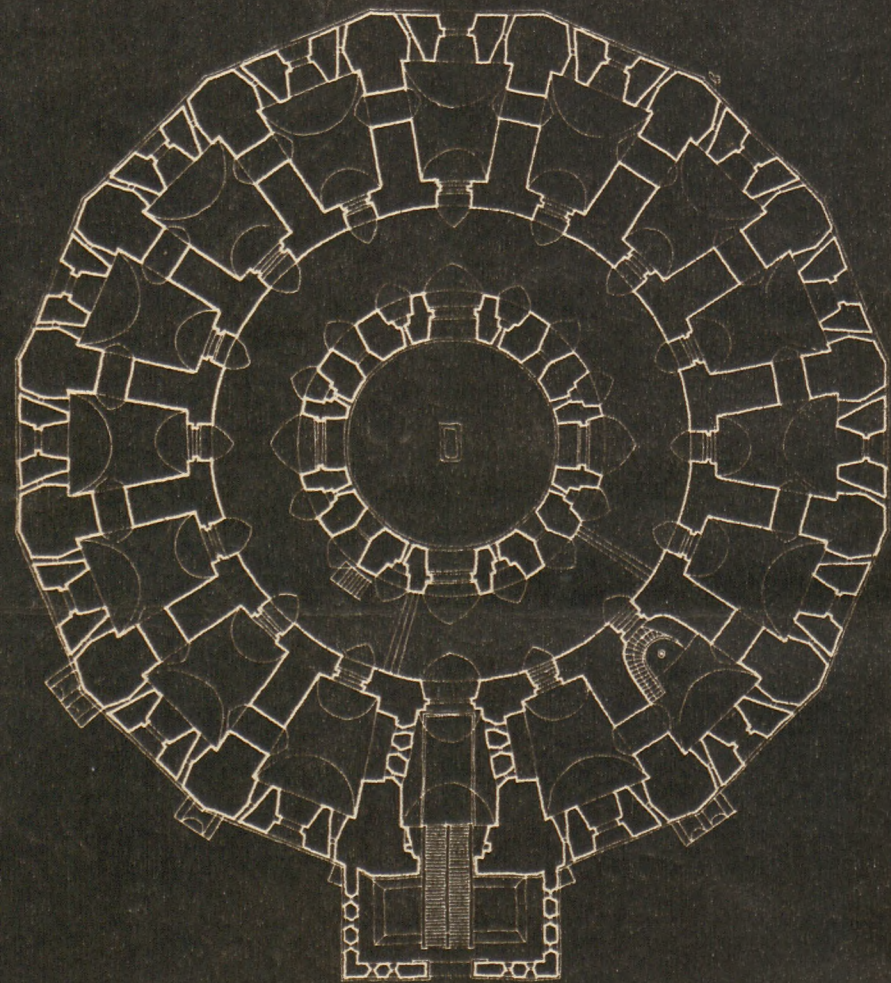
# TWIERDZA KRZEMIONKI



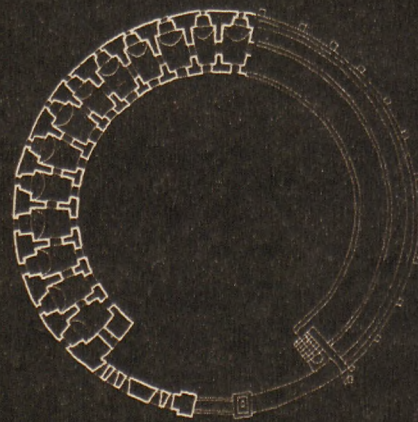
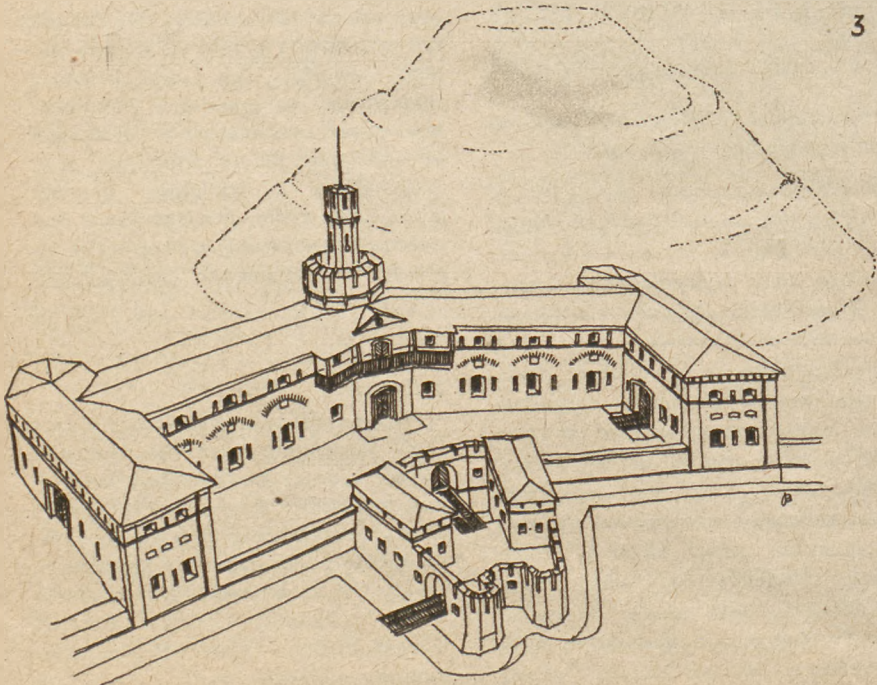
2



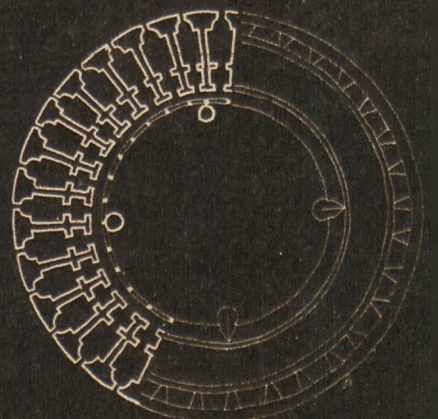
4



3



5



6

Ulicę Tarnowskiego w Krakowie na Podgórzu kończy pionowa wapienna ściana. Trzeba zadrzeć głowę do góry, żeby zobaczyć ceglane ściany potężnej baszty wieńczącej jej szczyt. To fort św. Benedykta, narożnik krzemionkowskiej twierdzy.

Patrzącemu spod Wawelu na południe, perspektywę Wisły kończy skaliste wzgórze opatrzone przysadzistą basztą. To fort Krzemionki, drugi narożnik twierdzy.

Ulica Dembowskiego dochodzi do szerokiego wału ziemnego. Za nim rozległy widok ze wzgórzem kopca Krakusa na pierwszym planie. Pod kopcem ruiny — to fort Krakus, trzeci narożnik twierdzy.

Tak przedstawia się stan dzisiejszy. A historia? Oto jej szkicowy zarys.

Krzemionki posiadały już umocnienia w średniowieczu. Ślad ich znany jest ze sztychu Meriana (pocz. XVII wieku) przedstawiającego niską basztę pod kopcem Krakusa.

Pod koniec XVIII wieku Konfederacja Barska i Insurekcja Kościuszkowska pozostawiły na Krzemionkach dwie fortyfikacje bastionowe.

Rok 1792. Austriacy zajmują Kraków. Generał-major Chasteler z uznaniem pisze o mieście. Miasto stare, solidnej budowy, ulice proste i szerokie, ale fortyfikacje w gruzach. Toteż w sześć lat później proponuje w trzech wariantach założenie twierdzy, lecz nie może się zdecydować, co zrobić z Krzemionkami. Niejasno zdaje sobie sprawę, że jest to klucz do Krakowa. Raz próbuje zaprojektować potężną twierdzę na Kazimierzu zwróconą specjalnie przeciw Krzemionkom, to znowu nie liczy się z nimi zupełnie albo próbuje je dość sztucznie podłączyć do obwodu twierdzy krakowskiej.

Trzeciego maja 1813 roku zajmują Kraków wojska polskie. Dowódca ich, ks. Józef Poniatowski, zakłada oboz warowny właśnie na Krzemionkach. Już jasno rysuje się myśl: Krzemionki są kluczem do Krakowa, kto je ma — ma Kraków.

Rok 1846—8, Wiosna Ludów i upadek Rzeczypospolitej Krakowskiej. Miasto znowu przechodzi w ręce Austriaków. Tym razem znajduje się ono w ważnym strategicznym punkcie, na drodze do cesarstwa.

\*

Wiedza o historii fortyfikacji jest u nas bardzo słabo rozpowszechniona. Leżąc na peryferiach zainteresowań: historii sztuki, architektury, wojskowości i inżynierii, nie znalazła w języku polskim, prócz paru prób, żadnego opracowania. Toteż nic dziwnego, że obiekty tego typu na ogół nie znajdują się w sferze zainteresowań naukowców. Jeszcze umocnienia średniowieczne mają pewną popularność, ale od wieku XVI, gdy fortyfikacja stała się na granicy architektury i inżynierii, historycy sztuki i architekci uznali ją za rzecz należącą do historii inżynierii, a inżynierowie — za część historii sztuki wojskowej. Na skutek tego zagadnienie, zepchnięte w nie określone miejsce, znalazło się w zapomnieniu na peryferiach nauk historycznych.

Nic też dziwnego, że twierdza krakowska w okresie od XVI do końca XIX wieku nie ma żadnego opracowania, a jedyna próba podjęta przez Niemca Rodlera obejmuje

koniec XVIII i pierwszą połowę XIX wieku.

Niniejsze opracowanie nawiązuje do okresu budowy pierwszej twierdzy krakowskiej przez Austriaków, a więc do lat 1849/53.

\*

D. 12 kwietnia 1850 roku wychodzi zalecenie cesarskie o budowie twierdzy krakowskiej. Prace nad jej budową zaczęto już niemal rok wcześniej, a postać, jaką ona w tym czasie już zaczyna przybierać, nawiązuje do stosowanego wówczas „systemu nowopruskiego“. Gdybyśmy wtedy mieli niezależny byt narodowy, budowalibyśmy według tego samego systemu, gdyż fortyfikacja wiąże się nierozdzielnie z techniką prowadzenia wojny, a co za tym idzie, w swej zasadzie jest kosmopolityczna. „System nowopruski“ w długim korowodzie systemów tzw. „szkoły bastionowej“, zapoczątkowanej w końcu XV wieku przez „system starowłoski“, zajmuje ostatnie miejsce. Na nim kończy się „szkoła bastionowa“. Był to okres w historii fortyfikacji, w którym głównym elementem obrony był bastion, podobnie jak w średniowieczu baszta. Bastion, ogólnie mówiąc to pięcioboczny narożnik fortyfikacji, zwykle usypany z ziemi, połączony z następnym bastionem wałem ziemnym zamiast muru. „System nowopruski“ opierał się na zasadzie Montalamberta, Francuza, który głosił idee tzw. „twierdz-szkielełów“, tzn. ustawiania samych bastionów bez wałów łączących je, tak zwanych „kurtyn“. Miasto otoczone ową fortyfikacją wyglądało mniej więcej tak, jakby w średniowiecznym zamku wyburzono mury i zostawiono same baszty. Na tej właśnie zasadzie zbudowano pierwszą twierdzę krakowską.

W 1849 roku ukazało się Obwieszczenie Rady Administracyjnej Okręgu Krakowskiego, zapowiadające, że na Podgórzu będzie praca dla 800 ludzi przy fortyfikacjach, z dniówką stosunkowo wysoką. Roboty te zaczęły się dnia 9 lipca, dla zamiejscowych zorganizowano noclegi w barakach. Dyrekcja robót mieściła się na Kanoniczej nr 169, a pracą kierował por. Michałowski. W ciągu lata usypano wały wokół kopca Krakusa, a prócz tego prowadzono prace także i w innych punktach miasta.

Twierdza w 1853 roku składała się już z sześciu fortów: fortu pod kopcem Kościuszki, tzw. lunet przy szosie warszawskiej (do dziś istniejący fort u zbiegu ulic 29 listopada i Kamiennej) i na Grzegórkach (nie istniejący dziś fort w miejscu obecnej rzeźni) oraz twierdzy krzemionkowskiej, składającej się z trzech fortów wraz z obwałowaniem.

Umiejscowienie tak silnych fortyfikacji na Krzemionkach od razu zwraca uwagę. Szkieleł obrony stanowiły tutaj: fort św. Benedykta na wschodnim końcu wzgórza i fort Krzemionki na zachodnim. Forty połączone były ze sobą usypanym na południowej krawędzi wzgórza wałem ziemnym, wzmocnionym bastionami. Pod kopcem Krakusa, wysuniętym daleko w przód, od strony skąd mógł nadejść nieprzyjaciół znajdował się silny fort zewnętrzny Krakus, oddzielony od tamtych głęboką doliną.

Panując wysokością nad Krakowem stanowiły Krzemionki klucz do całej krakowskiej twierdzy, a nad nimi z kolei panowało wzgórze z kopcem Krakusa. Tym sposobem fort Krakus był kluczem do Krzemionek. Z czasem wzniesiono jeszcze dodatkowe umocnienia zewnętrzne u stóp wzgórza, na którym stał kopiec.

Chcąc zdobyć ten fort, atakować go można było tylko od południa, gdyż od północy broniły go dodatkowo działa Krzemionek. Gdyby go jednak zdobyto, nie mógłby on służyć nieprzyjacielowi, ponieważ od tyłu (od północy) miał najsłabsze umocnienia, które ogniem dział z fortu św. Benedykta mogły być stosunkowo łatwo zniszczone. Nieprzyjaciół więc niewiele zyskując, a straciwszy wiele sił stawał wobec nie naruszonej właściwej fortyfikacji. Jeżeli atakując dalej zdobyłby wał i bastiony, to stanąłby przed szaniami samych fortów pod krzyżowym ogniem ich dział. Po zdobyciu szanów pozostawały jeszcze same forty.

Wał na południowej krawędzi Krzemionek posiadał trzy bastiony. Szerokość wału wynosiła u góry ok. 4 metry, a wysokość od wewnętrznej strony od 1,8 do 5 m. Oczywiście od zewnątrz względna wysokość była znacznie większa, gdyż dochodziła do niej głębokość trzymetrowej fosy, kutej w skale. Przed fosą znajdował się jeszcze szaniec zewnętrzny, z francuska zwany „glacis“, osłaniający właściwy wał od bezpośredniego ognia artylerii nieprzyjaciela.

Warto zwrócić specjalną uwagę na doskonale dostosowany do warunków terenowych plan tej fortyfikacji. Została ona dosunięta do samej krawędzi wzgórza, co w sposób naturalny podniosło wysokość wału i powiększyło równocześnie objętość twierdzy. Stało się to przyczyną użycia silnie spłaszczonych bastionów IX i X, tzw. „hiszpańskich“. Bastiony o takiej samej formie zastosował nieznany inżynier w fortyfikacjach Warszawy za Zygmunta III i w zamku w Brodach. Dziś bastiony hiszpańskie są taką rzadkością na terenie Polski, że oprócz bastionu X pod fortem Krzemionki oglądać możemy tylko jeden przykład — wschodni bastion zamku w Czemiernikach na Lubelszczyźnie.

Dalszą osobliwością twierdzy krzemionkowskiej jest zastosowanie kurtyny (wału między bastionami) nie w formie prostej, lecz załamanej. W ten sposób kurtyny tworzyły system „kleszczy“ albo z francuska „tenali“, lepiej nadających się do obrony niż zwykłe kurtyny, gdyż dających możliwość prowadzenia ognia krzyżowego nie tylko z bastionów, ale i z kurtyn. Jest to bardzo rzadka forma fortyfikacji. Kleszcze, zbudowane w końcu XVIII wieku, ale bez bastionów, widzimy w obwarowaniach Wawelu od strony Wisły, kleszcze zaś z bastionami, a więc takie jak na Krzemionkach, zachowały się jeszcze tylko w XVI-wiecznych obwarowaniach klasztoru karmelitów w Wiśniczu i w XVII-wiecznej twierdzy w Dankowie koło Częstochowy.

Godny uwagi jest fakt, że prawdopodobnie twierdza krzemionkowska jest w swym planie rozwinięciem dawnego obozu warownego wojsk polskich ks. Józefa z 1813 roku.

Dwa forty znajdujące się za „kle-

szczami“ były niemal jednakie. Oba w kształcie niskich, piętrowych, okrągłych baszt z dziedzińcami pośrodku, otoczone szaniami glacis. Skąd wzięta się ich osobliwa kolista forma? Otóż wywodzi się ona w prostej linii od wczesnorenesansowych rondli, takich jak np. krakowski Barbakan. Zasada formowania jest ta sama. Okrągły dziedziniec otoczony działobitniami, z których można było strzelać na wszystkie strony. Brama wjazdowa opatrzona była mostem zwodzonym, który do dziś zachował się w formie św. Benedykta. Służy on obecnie za podłogę w sieni wjazdowej, dawniej można go było wysuwać ponad zasypaną już dziś fosą. Nawet obronę podnoża murów w tych fortach rozwiązano podobnie jak w Barbakanie, za pomocą nadwieszonych machikułów — niewielkich balkonów bez podłogi. Naturalnie ewolucja od rondla do fortu św. Benedykta była długa i tzw. rondel musiał przejść szereg przemian. Wspomnę tu „klawę“, czyli fort nadmorski wg projektu sławnego malarza a równocześnie teoretyka fortyfikacji A. Dürera, a z naszych zachowanych zabytków „Rotundę“ w obwarowaniach Zamościa, niewiele już różniącą się od krzemionkowskich „baszt“. Podobne potężne mury ceglane, kolebkowe, opatrzone lunetami, wytrzymałe na uderzenia bomb sklepienia w działobitniach, ziemne szanice na dachach, wreszcie okrągły dziedziniec pośrodku fortu. Forty na Krzemionkach otrzymały jeszcze romantyczny gotycki wystrój w postaci kolorowego portalu i kamieniarki. Surowa, o silnym wyrazie architektura, mroczne sklepienie korytarze przypominają żywo twierdze renesansu i baroku.

Pozostaje jeszcze do omówienia fort Krakus. Miał on inny charakter. Składał się z budynku i koszar obronnych, wału omurowanego, usypanego w kształcie sześcioboku wokół kopca, z dołączonym do niego kwadratem od wschodu. Koszary znajdowały się w styku tych figur geometrycznych od północy. Taki zarys wałów jest formą interesującą, ponieważ zwraca się ona do nieprzyjaciela to kleszczami, to rogami. Co drugie załamanie wału zaopatrzone było w bastej (rodzaj półkolistej baszty bez dachu) dla dział. Podwójne bramy umieszczone przed koszarą obronnymi barbakanu posiadały zwodzone mosty.

Zarówno okrągłe forty — „wieże maksymiliańskie“, jak i fort Krakus zaliczyć trzeba do gatunku fortyfikacji górskiej. Mamy tylko jeszcze jeden przykład tego rodzaju umocnień w Polsce, mianowicie XVIII-wieczne fortyfikacje Srebrnej Góry na Dolnym Śląsku. Rozwiązanie ich jest jednak zupełnie inne. Tutaj bowiem nie liczone się z użyciem artylerii ciężkiej ze strony oblegających, a co najwyżej — artylerii polowej lub górskiej.

Zastosowanie pionowych, ceglanych ścian, machikułów, które świetnie nadawały się do obrony bliskiej i przeciw broni ręcznej, tłumaczy się po ważnym niebezpieczeństwem, jakie

*Dokończenie na stronie następnej*

<sup>1</sup> Część materiałów historycznych uzyskałem od p. dra J. Demela

stanowiła możliwość nieoczekiwane-  
go napadu pod osłoną dogodnego te-  
renu. Dlatego też wszystkie te ele-  
menty nie były tylko częścią dekora-  
cją w stylu romantycznego gotyku,  
ale konkretnie użytecznymi elemen-  
tami obronnymi. Co więcej, forty  
Krzemionek krakowskich stały się  
prototypem masowo stosowanej póź-  
niej w latach 1860—80 fortyfikacji  
górskiej na terenie np. Hercegowiny,  
gdzie operowano mimo ogromnego  
rozwoju artylerii w dalszym ciągu  
niemal tymi samymi formami.

★

Cała twierdza Krzemionki po-  
wstała w latach 1849—52, liczy więc  
już 104 lata. W czasie swojego istnie-  
nia nigdy nie została użyta, a już  
w niespełna 20 lat po wybudowaniu  
straciła w znacznym stopniu swe mi-  
litarne znaczenie, w związku z prze-  
łomem, jaki się dokonał w dziedzinie  
artylerii i fortyfikacji.

Widzimy w niej ostatnie ogniwo  
fortyfikacji szkoły bastionowej, ope-  
rujące specjalnie interesującymi i  
rzadkimi formami. Mamy więc do  
czynienia z zabytkami sztuki wojen-  
nej. Usypanie wałów, wykucie fos,  
przystosowanie terenu, przeprowa-  
dzenie dróg i mostów pozwala zali-  
czyć całość do zabytków sztuki in-  
żynierskiej. Architektura o surowym  
wyrazie, skromnym romantycznym  
neogotyckim detalu, ciekawe wną-  
trza, wreszcie czas budowy fortów —  
wskazuje, że mamy do czynienia  
z zabytkiem architektury obronnej.  
Należy tutaj przestrzec przed sub-  
iektywną postawą, podkreślającą  
austriackie pochodzenie tych forty-  
fikacji. Zabytki musimy oceniać nie  
ze strony wyłącznie emocjonalnej,  
ale przede wszystkim ze strony ich  
obiektywnej wartości historycznej.  
Nikt przecież dzisiaj nie będzie kwe-  
stionował wartości np. zamku w Mal-  
borku, ze względu na to, że został  
on wzniesiony przez Krzyżaków.

Lecz nie tylko pod względem za-

bytkowym forty św. Benedykta  
i Krzemionki mają znaczenie. Po-  
siadają one przecież ogromną ku-  
baturę wewnątrz, nadającą się dosko-  
nałe do wykorzystania. Nie są to  
przecież podziemne kazamaty, ale  
naziemne budynki.

Można by więc sądzić, że zabytko-  
wa twierdza Krzemionki znajduje  
się pod należytą opieką i jest odpo-  
wiednio użytkowana. Niestety. Oto  
krótki bilans ostatnich lat:

W roku 1934, z racji badań nad  
kopcem Krakusa, nie wiadomo po co  
zniwelowali archeolodzy obwałowa-  
nia fortu Krakus. Około 1948 roku,  
w trakcie budowy stadionu Włóknia-  
rza wyburzono nie tylko bastion IX  
i znaczne odcinki kleszczy-kurtyń,  
ale i resztki XVIII-wiecznych forty-  
fikacji. Około roku 1950 zniesiono  
spory odcinek kurtyny przy bastio-  
nie VIII w trakcie budowy przed-  
szkola. W roku 1954 mimo protestów  
prasy rozwalono fort Krakus, za-  
mieniając go w ruinę i ogromne  
gruzowisko. Nie kończąc tej roz-  
biórki, przedsiębiorstwo rozbiórkowe  
przerzuciło się na fort Krzemionki  
i zaczęło niemal nad głowami miesz-  
kańców rozbierać go, nie wykonu-  
jąc nawet inwentaryzacji. Obecnie  
zagrożona niwelacją jest reszta kur-  
tyny i bark przy VIII bastionie.

Czy zniszczenia te były i są ko-  
nieczne? Bynajmniej. Wszystkie no-  
we budowle wzniesione na tym te-  
renie mogły powstać bez zniszczenia  
zabytkowych fortyfikacji.

Sądzę, że barbarzyńskie zniszcze-  
nia tego rodzaju trwać będą dopó-  
ty, dopóki o istnieniu zabytków szt-  
ki fortyfikacyjnej decydować będą  
przedsiębiorstwa rozbiórkowe XIX  
czy XX wieku, a nie historycy i kon-  
serwatorzy. Najwyższy czas na to,  
aby akt prawny uznający twierdzę  
Krzemionki za zabytek powstrzymał  
dewastację tego obiektu jak i innych  
zabytków dawnej sztuki fortyfika-  
cyjnej w Krakowie i w ogóle w ca-  
łym kraju.

Istnieją wszelkie warunki po temu,  
aby w przyszłości cały teren daw-  
nej twierdzy Krzemionki, odzna-  
czający się przepięknymi widokami i  
dobrym klimatem, został wyzyskany

jako teren zielony dostępny dla wszy-  
stkich mieszkańców Krakowa. Wte-  
dy znalazłoby się miejsce i dla sta-  
rych fortyfikacji i dla współczesnego  
użytkowania.

↓ Tak wyglądał fort Krakus jeszcze przed rokiem



## OSTATNIA MANUFATURA

Niejaki Feliks Żebrowski zjawił się  
we wsi Rozbity Kamień koło roku 1890,  
z niewielkim kapitałem w kieszeni. Fakt  
ten zapoczątkował szereg wydarzeń o  
dość dużym znaczeniu dla życia tej  
wsi a nawet szerszej okolicy. Ale nie  
uprzedzajmy wypadków.

Wieś Rozbity Kamień, zwana przez  
tubylców po prostu „Rozbicie“, leży  
na Podlasiu zachodnim. Okolica to pias-  
czysta latem, błotnista jesienią.  
Wzrok daleko biegnie po równinie,  
miejscami lekko tylko sfalowanej prze-  
strzeni pól. Wstrzymują go jedynie  
ciemnozielone zapory lasów.

Tereny północno-wschodniej Polski  
słynęły zawsze ze słabo rozwiniętej sie-  
ci dróg. Stanowiło to naturalną barierę  
między przemysłem a ewentualnym od-  
biorcą jego wytworów — chłopem.  
Zresztą przemysł przez długie lata nie  
wykazywał większego zainteresowania  
drobnymi potrzebami wsi na tych ob-  
szarach. Wobec tego miejscowe rze-  
miosło, nie zagrożone konkurencją  
wielkiej wytwórczości, mogło się śmia-  
ło rozwijać. W takich warunkach po-

wstała manufaktura w „Rozbiciu“. Zacz-  
nijmy od początku.

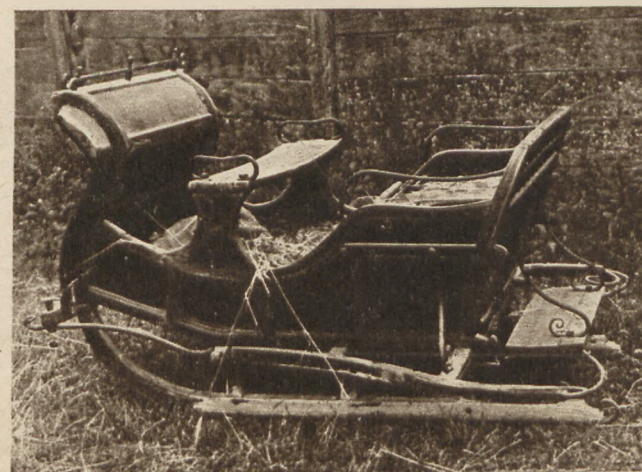
Po uwłaszczeniu chłopów w 1864 r.  
powstało na Podlasiu szereg zamoż-  
nych gospodarstw. Wśród szybko wzbo-  
gaconej części chłopów zrodziła się chęć  
pewnej wystawności życiowej, jeśli nie  
na codzień, to przynajmniej od święta.  
Przejawiło się to między innymi i w  
doborze środków transportu. Dawniej  
wieśniacy używali także i do świątecz-  
nych wyjazdów swych codziennych, ro-  
boczych wozów, zimą prostych sanek,  
zaledwie wymoszczonych sianem. Teraz  
zaś zamożny gospodarz w niedzielę na  
sumę hucznie zajeżdżał przed kościół  
bryczką zdobioną z miejska lub ma-  
lowanymi saniami. Z drugiej strony, wy-  
stępowała na Podlasiu licznie osiadła  
zaściankowa szlachta. Aczkolwiek schło-  
piały, szlachcic na zagrodzie okazywał  
wyraźnie swą „wyższość“ w stosunku  
do chłopka-chleboroba i nie dawał mu  
się zakasować w niczym, co dotyczy  
należytej prezencji. Jeszcze po pierw-  
szej wojnie światowej w jednej ze  
wsi Podlasia zachodniego mieszkał  
szlachcic, który domagał się od sejm-  
mu wydania ustawy zakazującej chło-  
pom używania „wytwornie zdobnych  
pojazdów, z racji urodzenia szlachcic  
tylko przynależnych.“

W tych okolicznościach rozwinął się  
popyt na pojazdy ozdobne, wytwarza-  
ne przez wiejskich rzemieślników. Wzo-  
rów dostarczały przede wszystkim mia-  
sta i dwory szlacheckie. Tak np. świą-  
teczne sanki „wyjazdowe“ zaczęto wy-  
rabiać na podobieństwo sanek miej-  
skich. Opatrzone w wymyślnie gięte  
oparcia, malowane, zdobne barwnymi  
ornamentami, czasem rzeźbami w drze-  
wie, stały się całkiem niepodobne do  
sanek roboczych, po staremu solidnych  
i prostych.

Feliks Żebrowski pochodził z podla-  
skiej wsi Żeberki. Był najstarszy z pię-  
ciu synów średnio zamożnego chłopca.

Małe gospodarstwo nie mogło wyży-  
wić całej rodziny, wobec czego naj-  
starszy syn musiał się zająć rzemio-  
łem. Wyuczył się zawodu stelmacha,  
a następnie ruszył w świat. Może  
uprawianie tego zawodu w rodzinnej  
wiosce nie zdołało zapewnić bytu Fe-  
liksovi, a może młodego pociągała włó-  
częga... Przez szereg lat krążył po pół-  
nocno-wschodnich terenach Polski, do-  
skonał się w swym zawodzie. W cza-  
sie tych wędrówek otarł się niewątpli-  
wie o tak duże ośrodki rzemiosła, jak  
Lublin i Warszawa, co pozostawiło śla-  
dy na późniejszej jego twórczości.

Powróciwszy w rodzinne strony, Fe-



← Wiejskie sanie  
„wyzjazdowe“ ze  
wsi Czekany, pow.  
Sokołów Podlaski.

fol. L. Dzięgiel



# ZEGARY SŁONECZNE W POLSCE

TADEUSZ PRZYPKOWSKI

O popularności zegarów słonecznych w wieku XVI świadczy fraszka naszego największego ówczesnego poety: Jana Kochanowskiego „na Śląse”. „Stań ku słońcu, a rozdziew gębę, panie Śląsa! A już nie będziem szukać inszego kompasu; bo ten nos, co to gęby już ledwie nie minie, na zębach nam ukaże, o której godzinie.”

Historia gnomoniki w Polsce jest bardzo stara.

Gnomon to po grecku: wskazówka, gnomonika zaś to nauka wykreślenia pewnych linii związanych z pozornym ruchem słońca po sklepieniu niebieskim, czyli nauka kreślenia zegarów słonecznych.

W Odrach w Borach Tucholskich mamy bardzo oryginalne i jeszcze naukowo dostatecznie nie zbadane założenia kamiennych wielkich kęgów stanowiących grobowce, które mogły być zarazem rodzajem ołtarzy, prowizorycznie datowane na pierwsze wieki naszej ery. Główna oś tych założeń pokrywa się zdumiewająco dokładnie z linią wschodu słońca w dzień sobótek. Jest to niewątpliwie najstarsze na naszych ziemiach wytyczenie założenia, i to założenia w wielkiej skali, związanego z pozornym ruchem słońca, a więc wytyczenie do pewnego stopnia gnomoniczne.

Polska po przyjęciu chrześcijaństwa wchodzi w krąg narodów kultury łacińskiej, gdzie od czterech prawie wieków obowiązuje ścisły przepis kościelny papieża Sabinianusa z r. 606, by na każdym kościele znajdował się zegar słoneczny do jednolitego wskazywania terminów nabożeństw oraz dzwony do powszechnego ogłaszania tychże terminów. Głos dzwonu przyozdabiano niejednokrotnie dłuższą i na precyzyjniejszym instrumencie wygrywaną melodią, chociaż w niektórych krajach, jak np. we Flandrii, powstały słynne carillon, czyli zespoły dzwonów różnej wielkości, na których da się precyzyjne melodie wygrywać. Z tego papieskiego rozporządzenia tylko ta druga jego część, dotycząca dzwonów, jest stale przestrzegana. Zegary słoneczne ocalały jedynie na wielkich i posiadających odwieczną tradycję kościołach. Piękny taki przykład zespołu zegara słonecznego i codziennego wygrywanego hejnału mamy w kościele Mariackim w Krakowie. W wielu wypadkach zegary słoneczne zastąpiono rozpowszechniającymi się od XIII w. zegarami mechanicznymi wieżowymi, które zresztą początkowo nie miały wcale tarcz ze wskazówkami tylko urządzenia poruszające dzwony co godzinę.

Ale tu i ówdzie znajdujemy ślady dawnych zegarów słonecznych na kościołach, ratuszach, zamkach i innych budowlach publicznych. Takie zresztą pierwotne zegary słoneczne były bardzo prymitywne: w południową ścianę kościoła orientowanego swym prezbiterium dość dokładnie ku wschodowi, co było przepisem religijnym, wbijano prostopadle pręt żelazny i rytymi kreskami oznaczano momenty odpowiednich terminów nabożeństw. Później nieco, zamiast tych kilku w różnych odstępach

wyrytych kresek, zaczęto dawać równomierne podziały na godziny. Podziały te jednak dzieliły tylko dzień na jednakową ilość godzin zmiennych co do długości wraz z długością dnia. Dopiero w XIV wieku pojawiają się u nas podziały doby na 24 godziny, o jednakowej w ciągu roku długości.

Najstarszym zegarem polskiego pochodzenia, zegarem kreślonym już według reguł naukowej gnomoniki, jest projekt zegara słonecznego na przyrządzie astronomicznym zwanym torque-tum, którego konstrukcję opisał, wraz z szeregiem rysunków, Franko z Polski, wykładający w Paryżu w r. 1284. Zegar ten jest wyraźnie wzorowany na zegarach słonecznych arabskich, gdyż we wcześniejszym średniowieczu tak w gnomonice, jak i w całej astronomii prym w Europie trzymają Arabowie.

Daleko jednak było jeszcze wtedy od tych naukowych szczytów do zwykłych użytkowych zegarów w Polsce. Dobre ich przykłady z w. XIV mamy na szkarpie kościoła w Stróżyskach pod Nowym Korczynem. Górny z nich ma tylko kreski odpowiadające terminom nabożeństw. Dolny zawiera już próbę podziału godzinowego z południem oznaczonym wyraźnym krzyżem. Podział na równe godziny w ciągu roku związany był z zastąpieniem poziomej wskazówki równoległą do osi świata, to znaczy skierowaną górnym swym końcem ku biegunowi północnemu i płaszczyzną swą leżącą w płaszczyźnie południka. Wymagało to już pewnych wiadomości z zakresu astronomii i nie dawało się ustawić czysto empirycznie, jak to czyniono z wykreśleniem tych pierwszych zegarów „nabożeństwowych”, które w tej postaci co w Stróżyskach spotykamy we wczesnym średniowieczu w całej zachodniej Europie.

Od założenia uniwersytetu krakowskiego, który od razu zaczyna się wybijać w zakresie astronomii, datuje się u nas powszechnie epoka naukowej gnomoniki. Już w rękopisach z najstarszego okresu uniwersytetu, przed odnowieniem go przez Jadwigę i Jagiellę, znajdujemy rozprawy gnomoniczne na najwyższym wówczas poziomie utrzymane

Zegar słoneczny, zaopatrzone już nawet w precyzyjnie w osi świata ustawioną wskazówkę, nie wskazuje nam ściśle godziny. Ziemia bowiem nie biegnie wokół słońca z jednakową szybkością. Różnice te jednak niewiele przekraczają kwadrans, i to tylko przez bardzo krótki okres roku, przeciętnie wynoszą kilka minut lub minutę, co przy ówczesnych wymaganiach określania dokładności czasu nie sprawiało żadnej różnicy. Mikołaj Kopernik w swym wielkopomnym dziele daje nam sposób obli-



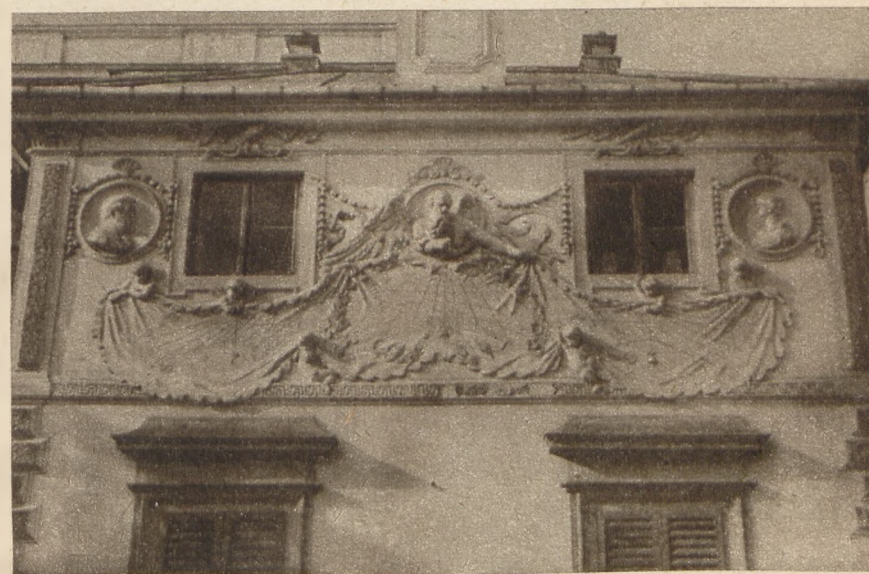
Autor artykułu — dr Tadeusz Przykowski z Jędrzejowa — jest nie tylko badaczem historii i teorii zegarów słonecznych, ale również ich projektantem i wykonawcą. Jego dziełem są m. in. wielkie zegary zdołające plac przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie oraz Park Kultury i Wypoczynku w Katowicach.

fol. A. Kaczkowski

↓ Najstarsze w Polsce zegary słoneczne na kościele w Stróżyskach pod Korczynem (XIV w.)



↓ Zegar słoneczny Jana Heweliusza w Wilanowie koło Warszawy





czania naukowego poszczególnych wartości tego równania czasu. Kopernik pozostawił nam bardzo oryginalny zegar słoneczny, jaki sobie sam wykreślił w krużganku zamku w Olsztynie nad drzwiami prowadzącymi do jego mieszkania. Już w w. XV spotykamy polskie zegary słoneczne wykonane według naukowej gnomoniki. Sądząc po zachowanych rękopisach opisujących ich konstrukcję, prawdopodobnie mieliśmy takie już w XIV w. Tylko dotychczas nie znaleziono żadnego egzemplarza oryginalnego z zabytków tego rodzaju; jednak zegar Kopernika przewyższa wszystkie swą oryginalnością. Godzinę bowiem na nim oraz ilość dni oddalenia pozycji słońca od równika wskazuje nie cień, lecz światelko lusterka umieszczonego na parapecie okna krużganku, i dla dowiedzenia się godziny nie potrzebował Kopernik wychodzić z zamku, mogąc ją zobaczyć na tablicy wewnątrz krużganku.

W wieku XVI rozpowszechniają się zegary i na ratuszach. Jeden z najokazalszych przykładów zachował się nam na ratuszu w Otmuchowie z r. 1575.



Rys. S. Hennig

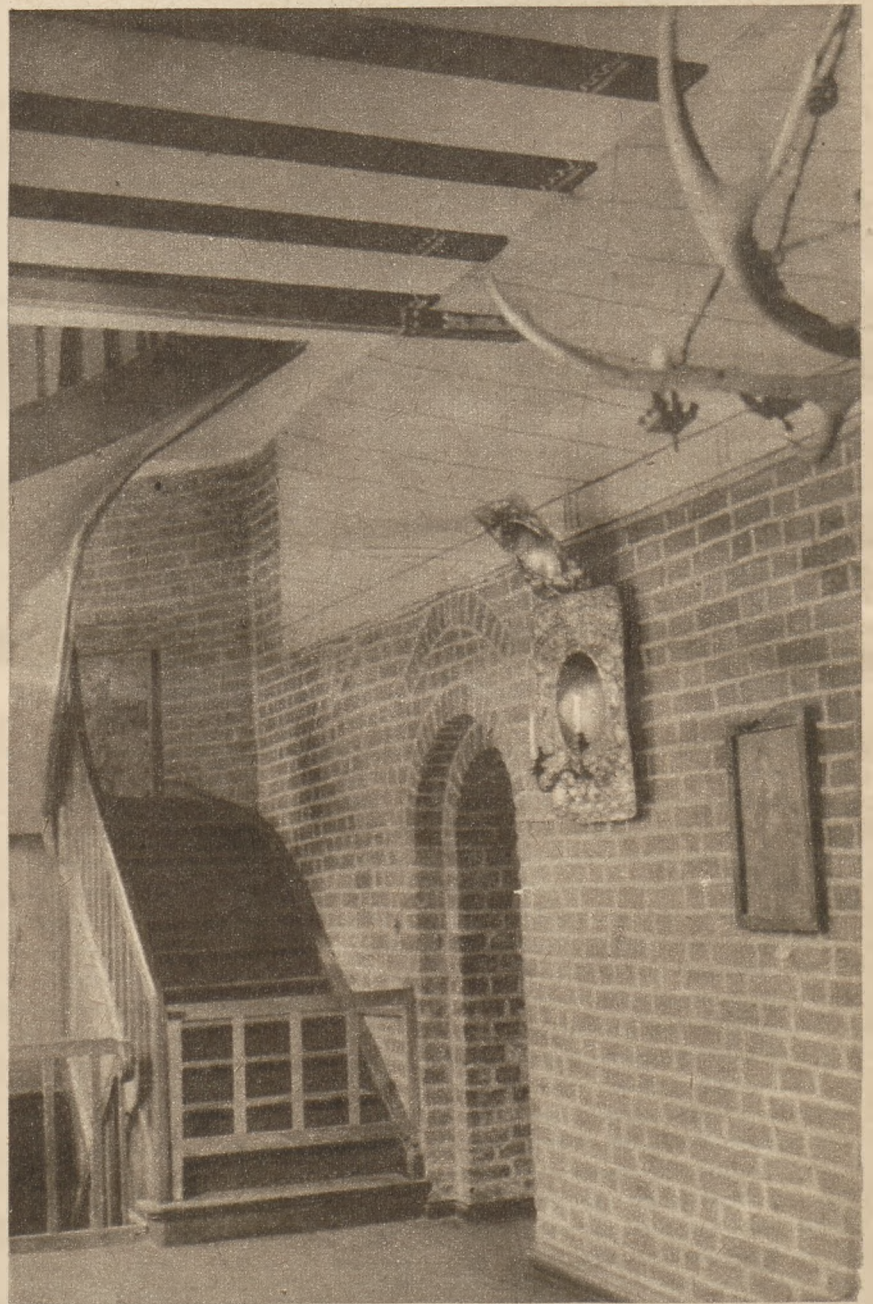
Mimo bowiem powszechnego już wówczas posługiwania się zegarami mechanicznymi, w jakie wyposażono wieże ratuszowe, precyzja ich chodu i wskazywania godziny była tak nieszczególna, iż nie mogła się równać z zegarem słonecznym, choć i on pokazywał ze zmienną dokładnością do kilku czy w niektórych dniach nawet do kilkunastu minut. Zegar słoneczny był więc uzupełnieniem i sprawdzianem zegara mechanicznego, i to nawet aż po wiek XIX. Dopiero telegraf, telefon, no i wreszcie radio w w. XX pozwalają nam na szybkie i dokładne podawanie czasu, który przecież czerpiemy w gruncie rzeczy i teraz nie skądinąd jak z ruchu ciał niebieskich, tak jak zegar słoneczny czyni to bezpośrednio.

Z pięknych przykładów zegara słonecznego wieku XVII należy tutaj wymienić zegar słoneczny na pałacu w Wilanowie pod Warszawą. Przypisuje się jego obliczenie nadwornemu astronomowi króla Sobieskiego, słynnemu Janowi Heweliuszowi z Gdańska czy też jego następcy, znanemu matematykowi Adamowi Kochańskiemu. Zegar central-

Solski swego słynnego „Geometrę“, w którym mamy podział na „zabawy“. Otóż „Zabawa XIII około rysowania zegarów słonecznych“ jest pierwszym popularnym i bardzo przystępnym wykładem gnomoniki w języku polskim.

Po Solskim pojawia się szereg innych podręczników traktujących ten temat bardzo przystępnie i im to zawdzięczamy znaczną ilość zegarów słonecznych XVII i XVIII wieku, jakie się głównie zachowały na kościołach, gdzie przestrzegano pradawnego rozporządzenia papieskiego.

Specjalne ożywienie gnomoniki zauważamy w Polsce w pierwszej połowie w. XIX. Powstają nowe podręczniki a przede wszystkim szereg publicznych zegarów słonecznych całkowicie świeżych, w otwartych miejscach. Wojciech Jastrzębowski w r. 1825 konstruuje przyrząd swego pomysłu do kreślenia zegarów słonecznych na dowolnej powierzchni nieregularnej. Takie zegary na głazach narzutowych spotykamy też tylko w Polsce, a największym ich okazem jest wielki głaz z zegarem wykreślonym przez samego Jastrzębowskiego



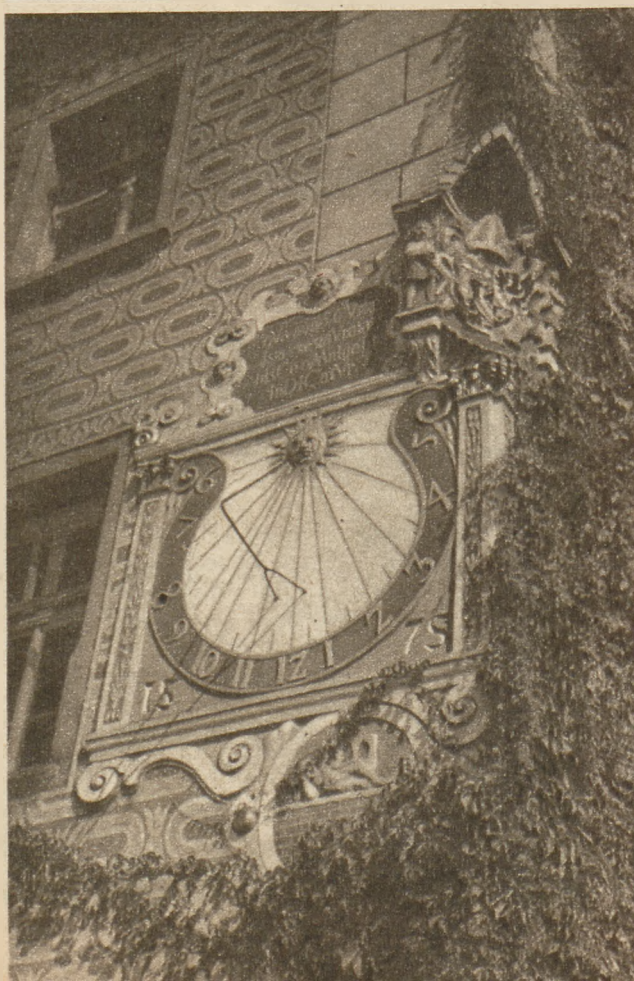
ny, którego wskazówkę trzyma postać samego Chronosa, wskazuje nam godziny oraz znaki zodiaku. przez jakie słońce „przechodzi“, boczne natomiast — to zegary, jak byśmy je teraz nazwali, „sportowe“: jeden pokazuje ile godzin już słońce świeci, drugi zaś — ile jeszcze w tym dniu będzie świecić, a więc dowiadujemy się, ile czasu mamy do zmroku, a łatwo możemy obliczyć, o której godzinie trzeba wstać, by wykorzystywać jak najwięcej dnia.

W pamiętnym roku batalii wiedeńskiej wydaje w Krakowie Stanisław

w parku Łazienkowskim w Warszawie w r. 1828. W tym czasie w Rosji przyjął się bardzo praktyczny zwyczaj umieszczania zegarów słonecznych na milowych słupach oznaczających odległość. Dwa takie słupy z zegarami słonecznymi, bardzo pożytecznymi dla podróżnych, ocalały na drodze między Moskwą a Leningradem. W Polsce mamy jeden taki słup (przerobiony na kapliczkę) pod Białą Podlaską, położony zaś drogi z Lublina do Zamościa, w Łopienniku, oznaczano również w r. 1835 zegarem słonecznym, doskonale

Od prawej

→ Zegar słoneczny Mikolaja Kopernika na zamku w Olsztynie



→ Zegar słoneczny z r. 1575 na ratuszu w Otmuchowie na Dolnym Śląsku.

do dziś zachowanym, może dzięki sentencji na nim umieszczonej: „Niech się sili złość i głupstwo na zniszczenie.“

W tym też czasie znany astronom Jan Baranowski, na podstawie dawnych wzorów, opracował i puścił do masowej produkcji bardzo praktyczny typ kieszonkowego zegara słonecznego w postaci słupka, na którego liniach z wysokości słońca odczytujemy dokładnie godzinę. Zegarki tego typu były w powszechnym użyciu po wsiach jeszcze w początkach bieżącego stulecia.

Przychodzi jednak nowe utrudnienie w bezpośrednim odczytywaniu z zegara słonecznego godziny obowiązującej. Samo równanie czasu przestaje wystarczać. Ziemia bowiem w swym obrocie coraz to inny punkt na równoleżniku wystawia na bezpośrednie działanie słońca. W ten sposób słońce „biegnie“ przez Polskę przeszło 36 minut, czyli że czas miejscowy, jaki obowiązywał przedtem powszechnie, różni się, np. między Świnoujściem a Sejnam, o 36<sup>m</sup>23<sup>s</sup>. Ze względu na kolej, telegraf itp. takie różnice w granicach państwa nie są dopuszczalne, więc podzielono świat na konkretne strefy południkowe, w których obowiązuje czas jednolity. Obowiązujący więc u nas czas środkowo-europejski przeważnie w Polsce opóźnia się w stosunku do słonecznego średniego w Warszawie o mniej więcej 24 min., w Krakowie — 20 min., w Przemyśle nawet — 31 min., za to w Zgorzelcu spieszyć się będzie wszystkiego 2 sekundy, co jest warto-

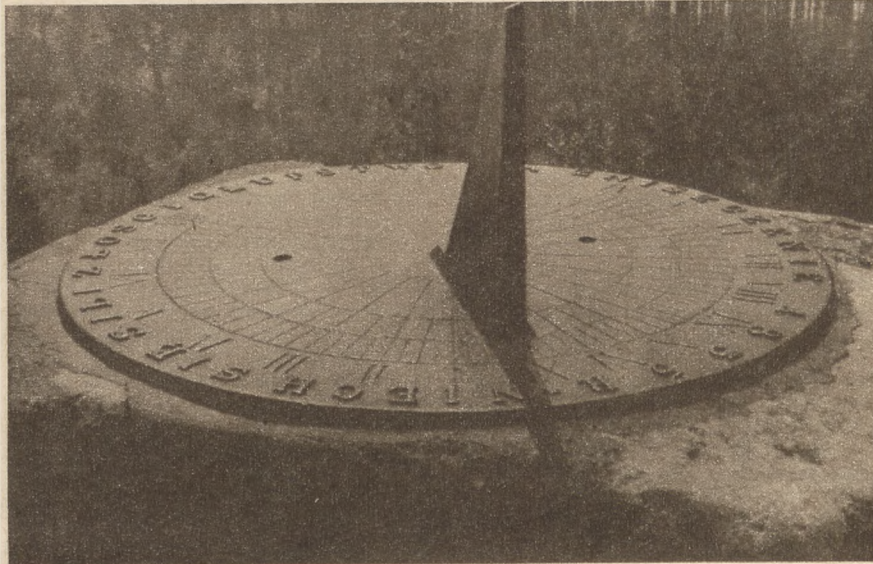
Zegary słoneczne wskazujące czas prawdziwy słoneczny znalazły swą rolę społeczną ponownie w ostatnich czasach. Są to przede wszystkim rekonstrukcje dawnych zabytkowych zegarów, niejednokrotnie bardzo zniszczonych. Tak np. w roku bieżącym mają być przeprowadzone bardzo żmudne prace nad zrekonstruowaniem obu najcenniejszych zabytkowych zegarów słonecznych: Kopernika i ewentualnie Heweliusza, których czas i nieumiejętne restauracje pozbawiły całkowicie ich pierwotnej funkcjonalnej roli. Ale nie poprzestajemy na rekonstruowaniu poszczególnych zabytków.

Mamy możliwość budować zegary słoneczne, które by wskazywały czas obo-

nak wykresy te zachodziłyby na siebie, musimy mieć dwa zegary: jeden od najkrótszego do najdłuższego dnia i drugi od najdłuższego dnia do najkrótszego, jeden więc na zimę i wiosnę, drugi na lato i jesień.

Po drugiej stronie Pałacu Kultury i Nauki powstał wielki, bo 10-metrowy, zegar słoneczny bardzo oryginalnego rodzaju: godzinę bowiem prawdziwą wskazuje cień człowieka, który musi stanąć na linii południowej w zmiennym w ciągu roku miejscu. Przy tej też linii zmontowano wielką gwiazdę stron świata, a punkty godzinne są rozmieszczone na elipsie.

Największe dwa zegary słoneczne w Europie powstają w Parku Kultury i



↑ Zegar słoneczny w ogrodzie Ewy Szelburg-Zarembiny w Zakopanem, wykonany w r. 1937 przez autora

← Zegar słoneczny umieszczony w roku 1835 na słupie oznaczającym połowę drogi z Lublina do Zamościa

ścią praktycznie na zegarze słonecznym nieodczytywalną, zatem można uważać, iż w Zgorzelcu i jego południku nie ma różnicy między czasem średnim słonecznym a obowiązującym. Dochodzą do tego różnice równania czasu, które kumulując się ze stałą ową wspomnianą poprawką dają w rezultacie w październiku poprawkę czasu dochodzącą do 50<sup>m</sup>. To też stało się powodem upadku praktycznej gnomoniki i zaniku szerszego stosowania zegarów słonecznych w drugiej połowie wieku XIX i z początkiem wieku naszego.

wiązujący z dokładnością do jednej minuty, a więc z dokładnością całkowicie wystarczającą do praktycznego naszego życia, z kolejami i radiem włącznie. Taki zegar powstał ostatnio przy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Godzinę wskazuje tutaj nie linia cienia wskazówki, lecz światło otworka tarczy wskazówkowej, padające na skomplikowane linie godzinne przesunięte o wspomniane 24<sup>m</sup> i posiadające dokładnie obliczone i wykresione wygięcia, które są graficznym wykresem równania czasu. Ponieważ jed-

Wypoczynku w Katowicach. Jeden z nich jest już montowany na dziedzińcu Planetarium i Obserwatorium Astronomicznego, gdzie ustawiono 10-metrową żelazną wskazówkę pośrodku basenu, tak że cień jej będzie padał częściowo na mozaikę kamienną z podziałkami godzin na dziedzińcu o 29 m średnicy, częściowo zaś na wodę i dno basenu, przykładowo ilustrując zjawisko refrakcji, na którym polega znaczenie soczewki teleskopowej. Drugi zegar o średnicy 32 m będzie wielkim klombem kwiatowym, z liniami znaczącymi barwami kwiatów, na które będzie padał cień wzniesionego pośrodku budyneczku i oznaczał godzinę.

Nowy renesans gnomoniki, która ma w Polsce tak dawne i piękne tradycje, opiera się na innych przesłankach niż czysto użytkowe.

Zegary powszechnie dawniej używanego typu konstruuje się i całkiem na nowo w miejscach zabytkowych, dla lepszego podkreślenia tradycji i atmosfery dawności. Taką na przykład odegrać ma rolę zegar w Warszawie na Zapiecku przy rynku Starego Miasta, gdzie umieszczenie go naprzeciw zegara mechanicznego daje możliwość porównania czasu obowiązującego z prawdziwym, taką też ma rolę do odegrania na nowo (choć na starym miejscu) wykonany zegar na kościele Mariackim w Krakowie. Nie wszyscy jednak uświadamiają sobie dydaktyczne znaczenie, jakie może mieć zaobserwowanie owej właśnie różnicy między czasem wskazywanym przez zegar słoneczny i przez zegar mechaniczny w Warszawie czy między cieniem zegara a hejnałem z wieży w Krakowie.

Poza bowiem niewątpliwie bardzo wybitnymi walorami dekoracyjnymi pobudza to myśl do zastanowienia się nad budową wszechświata, uzmysławia nam

## OSTATNIA MANUFAKTURA

DOKOŃCZENIE

liks Żebrowski wyczuł natychmiast koniunkturę i okazał doskonały zmysł organizatorski. Po przybyciu do Rozbitego Kamienia kupił plac, gdzie zaczął wznosić budynek po budynku — manufakturę. Zajęła się ona produkcją takich właśnie ozdobnych pojazdów. Przedsiębiorstwo w miejscu zaczęło prosperować tak pomyślnie, że Żebrowski mógł zająć się jego rozbudową. Już w kilka lat po założeniu obejmowało ono: 3 kuźnie mechaniczne, warsztat stelmacha, warsztat kołodzieja, warsztat lakierniczy i 5 warsztatów stolarskich. Zatrudnienie znajdowało tam, zależnie od okresu, 15 do 24 rzemieślników.

Żebrowski stworzył pewien standardowy typ pojazdu, właściwy dla swej wytwórni. Na wyglądzie zewnętrznym jego wyrobów zaważył niewątpliwie pobyt Żebrowskiego w większych ośrodkach miejskich, gdzie podpatrzył on konstrukcję i sposób zdobienia bryczek i sań. Sanki robione w „Rozbiciu“ wyglądem swym przypominały pojazdy warszawskich i lubelskich dorożkarzy.

Dzięki produkcji standardowej mógł sobie Żebrowski pozwolić na obniżenie cen swych towarów. Sława wytwórni rozbińskiej, jako wytwarzającej towar solidny, estetyczny i tani, obiegła cały powiat. Ba, z dalszych nawet okolic, nadsyłało zamówienia. Robiono już teraz na zapas poszczególne części pojazdów, które montowano następnie i malowano po otrzymaniu obstalunku. Dzięki tej metodzie produkcja postępowała znacznie szybciej, co tym bardziej przyciągało klienta. Drobnny rzemieślnik nie był zdolny wywiązać się tak szybko z otrzymanego zamówienia. W przeciągu roku manufaktura wypuszczała około 80 do 100 bryczek! Zimą w najbardziej ożywionych okresach montowano w niej dwoje sanek dziennie.

W 1918 r. zmarł twórca manufaktury, sama jednak wytwórnia prosperowała nadal pomyślnie pod kierownictwem jego synów. Zmierzch manufaktury rozbińskiej rozpoczął się z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej. Jego przyczyną, według informacji miejscowej ludności, była — wódka. Ostatni z potomków Feliksa w linii prostej utracił cały majątek i zginął w nędzy w czasie drugiej wojny. Manufaktura upadła. Dziś nie ma po niej śladu. Tylko dwaj bracia Żebrowscy z Sadownego opowiadają przygodnym ciekawskim, jak to kiedyś obaj pracowali w przedsiębiorstwie swego stryja.

A. H.

ruch ziemi, której nawet perturbacje w tym ruchu odbijają się np. w liniach równania czasu, jak na zegarze przy Pałacu Kultury i Nauki. Te względy też sprawiają, że obecnie nie powstaje w Polsce żadne większe założenie kulturalnego i pedagogicznego typu, które by nie miało naukowo obliczonego zegara słonecznego.

Tadeusz Przyppkowski

ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ  
WIERCHÓW

W ostatnim numerze „Wierchów“ ukazała się odezwa redakcji do czytelników, aby zabrali głos w sprawie materiałów już publikowanych w poprzednich rocznikach i wyrazili swe życzenia, uwagi i postulaty na przyszłość. Bezpośrednio po odezwie wydrukowano wypowiedź Adama Chowańskiego „Na temat Wierchów“ Z bardzo wieloma jego postulatami możemy się w pełni zgodzić, niemniej, skoro pytają, wyrażmy i my swoje zdanie — zdanie przeciętnego czytelnika.

„Wierchy“ posiadają dawną tradycję, a roczniki ich są prawdziwą skarbnicą wiedzy o górach. Gromadzą one wokół siebie miłośników gór i ludzi związanych zainteresowaniami z problematyką gór i pogórza. Wielką zaletą czasopisma jest przede wszystkim ciągłość zachowana poprzez wiele lat, wreszcie regularność, z jaką wychodzi.

Aby jednak w pełni ocenić obecną wartość „Wierchów“, należy odpowiedzieć na kilka zasadniczych pytań: 1. jaki jest cel czasopisma? 2. dla jakich czytelników jest przeznaczony? 3. czego ci czytelnicy wymagają? 4. jak dalece „Wierchy“ zaspokajają te potrzeby? 5. jeśli w całości nie czynią im zadość, to jak ewentualnie błędy naprawić?

1. Chowański pisze, że „Wierchy“ są magazynem wiedzy o naszych górach. Zgadzać się, ale niech nie będą „lamusem“, do którego wrzuca się wszelkie połapane wiadomości. „Wierchy“ spełniać muszą trzy podstawowe cele — szerzyć zamiłowanie do gór i ich spraw, propagować wiedzę o górach oraz być kroniką spraw górskich. Do tego celu wspaniale służyć może dziś istniejący układ czasopisma, dzielącego się na artykuły ogólne, artykuły specjalne w dziale „Ludzie i sprawy górskie“ oraz Kronikę.

2. Jeśli chodzi o czytelników „Wierchów“, nie trzeba zapominać, że nie jest to jedyne pismo turystyczne. Istnieje „Turysta“, który stara się zaspokajać potrzeby szerokich rzesz turystów. „Wierchy“ były od

dawna, są obecnie i powinny być nadal organem ludzi „wyższego stopnia wtajemniczenia“, tzn. takich, którzy po pierwsze szczególnie związali się z górami (w przeciwieństwie do innych terenów turystycznych), po wtóre — górami tymi interesują się poważnie, nie tylko jako terenem miłego spędzenia wolnych od pracy chwil. Czytelnicy „Wierchów“ posiadają różny stopień wykształcenia, łączy ich jednak pewna znajomość spraw górskich. „Wierchy“ nie mogą jednak tylko obsługiwać już istniejących miłośników gór, muszą zaspokajać nowych czytelników, zachęcać ich i kształcić.

3. Tego rodzaju czytelnicy — a więc inteligentni miłośnicy gór i kandydaci na takich — nie zadowolą się byle czym. W „Wierchach“ szukają czegoś nowego, świeżej problematyki, nowych, dotąd nie omawianych na łamach czasopism wydarzeń, pewnej egzotyki. Ponieważ czytelnicy rekrutują się z różnych specjalności i różny jest ich zakres zainteresowań, powinna być i różna tematyka. A więc poza sprawami turystycznogórskimi na równi powinny być reprezentowane nauki przyrodnicze i humanistyczne. Czy „Wierchy“ zaspokajają te potrzeby? Sądzę, że, raczej nie. Są one przede wszystkim dość nudne. Weźmy np. ostatni rocznik (1955). W części pierwszej mamy cztery artykuły, które powinny mieć charakter ogólny, poruszać jakieś szersze problemy, zjawiska, podsumowywać doświadczenia itp. Zamiast tego czytelnik znajduje jeszcze jeden artykuł z długiej serii o Staszicu, w dodatku nie przynoszący absolutnie nic nowego — ot, trochę ogólników, a potem cytaty, cytaty i jeszcze raz cytaty (honorarium właściwie powinni zainkasować spadkobiercy Staszica. Następny artykuł to „Chłopskie karczunki“... Temat wąski, opracowany niepopularnie, a więc dla kogo przeznaczony? Chyba nie dla ludzi interesujących się historią, gdyż ci czytali o tym już przed kilku laty w „Slavia antiqua“, jak dowiadujemy się z przy-

pisu. (Tu należałoby się w ogóle zastanowić, czy jest sens marnować miejsce na przedruk artykułów, które już się gdzie indziej ukazały). Dalej kroczy „Pięćset lat polskiej turystyki“... i znów stara historia, którą w przeróżnych wariantach znamy, choćby z samych „Wierchów“. Odświeżają nieco atmosferę liczne wspominki Krygowskiego, ładne i bezpośrednie — nareszcie coś podanego po raz pierwszy po tamtej odgrzewanej uczcie.

Część druga to „Ludzie i Sprawy Górskie“. Tu sprawa przedstawia się lepiej. Kilka artykułów ciekawych i naprawdę nowych, jak: Jostowej, Zborowskiego, Mosta, Stecia.

I wreszcie Kronika. Dobra, na ogół interesująca, tylko chaotyczna. Dłaczego np. artykuły Pieńkowskiej i Gotkiewicza znajdują się na dwu końcach Kroniki, jeśli tycają tego samego problemu i doskonale się uzupełniają?

Poza tym w Kronice brak recenzji czy choćby omówień bibliograficznych, a przecież tyle książek o tematyce górskiej ukazuje się ostatnio:

4. Biorąc ogólnie, część I „Wierchów“ powinna być najciekawsza, programowo-werbuująca, powinna formować właściwy światopogląd i budzić zamiłowanie do gór. Tymczasem jest ona najślabsza.

Artykuły powinny być nowe, a tak nie jest. O części I pisałem już wyżej, ale i dalej znajdujemy rozpaczliwie naciągany artykuł o Mickiewiczu i górach, z którego jasno wynika, że nic go z górami nie łączyło, jeszcze jeden z bardzo wielu artykułów o górnej granicy lasu i bardzo suchy artykuł o Górze św. Anny.

Czytelnik stwierdza tu brak jakiegokolwiek planu. Redakcja zdaje się umieszczać to, co jej nadeślą, bez jakiegokolwiek góry obmyślonej koncepcji. W związku z tym np. przeładowanie numeru humanistyką, przy niemal zupełnym braku artykułów przyrodniczych. Na 16 pozycji z I i II części „Wierchów“ są 2 artykuły geograficzne: „Góra św. Anny“ i „Altaj“ oraz 1 artykuł botaniczny o górnej granicy lasu, jeśli nie liczyć dwustronicowego „Zwycięstwa idei parków narodowych“. A przecież góry to nie tylko ludzie — to głównie ich przepyszna, egzotyczna przyroda.

Sytuacja wyglądałaby zgoła inaczej, gdyby redaktorzy planowali każdy z tomów, zamawiając konkretne artykuły u konkretnych autorów specjalistów. Nie wyklucza to oczywiście przyjmowania również artykułów przypadkowych, szczególnie ciekawych czy wypełniających luki tematyczne. Wtedy dałoby się między innymi utrzymać równowagę po-

między poszczególnymi dyscyplinami i poszczególnymi kompleksami górkimi.

Istotnym brakiem „Wierchów“ jest zaniedbanie niemal zupełnie tematyki egzotycznej, choćby pozapolskiej. Artykułiki w rodzaju „Altaju Radzieckiego“, wyglądające na wypis z Wielkiej Geografii Powszechnej, bynajmniej nie zaspokajają naszej tęsknoty za odległymi krajami. Zaspokajają ją natomiast artykuły typu tych, jakie pisuje Jan Kazimierz Dorawski, tchnące umiłowaniem i znawstwem gór, ale tego typu rzeczy jest za mało. Czyż doprawdy nie znajdzie się w Polsce nikt, kto by umiał pisać na te tematy?

Nie tylko jednak prawie nic się nie mówi o górach dalekich, ale również o górach Czechosłowackich, choćby samych Tatrach i Sudetach po tamtej stronie.

Turystę uderza w „Wierchach“ absolutny brak wiadomości o turystyce innych krajów. Ani słowa o turystyce alpejskiej, nic o wyprawach, osiągnięciach alpinizmu obcego, o czasopiśmiennictwie, stowarzyszeniach itd. Częściowo lukę tę wypełnia „Taternik“, ale pismo to po górsze nie wychodzi regularnie, po wtóre ma jeszcze węższy i nieco inny krąg czytelników. Pewna ogólna problematyka wysokogórska mogłaby śmiało znaleźć się na łamach „Wierchów“, a niewątpliwie przysporzyłaby im czytelników wśród młodszego pokolenia.

Byłoby też z korzyścią dla czasopisma, gdyby „Wierchy“ poszerzyły nieco krąg swych autorów. (Od lat spotykamy tu te same nazwiska osób piszących z dużą swobodą na przeróżne tematy albo — co jeszcze gorsze — stale na ten sam temat). Redakcja powinna wyszukiwać nowych ludzi, podsuwać im tematy z zakresu ich specjalności, wciągać do współpracy nie tylko uczonych i turystów, ale i literatów (np. takiego Kapeniaka) czy poetów góralskich.

I jeszcze mała, maleńka uwaga na marginesie. Czy to nie zastanawiające, że np. w takim dziale pierwszym „Wierchów“ na 4 artykuły 3 pisane są przez członków komitetu redakcyjnego, w tym jeden przez redaktora naczelnego? Że w sumie w całym numerze na 98 pozycji podpisanych 10 pochodzi od komitetu redakcyjnego, a 17 i 7 fotografii — od samego redaktora? Czyli, innymi słowy mówiąc, około 30% pozycji to redaktor i komitet redakcyjny, pozostałe 70% — to cała Polska.

Czytelnik „Wierchów“

## ZE STARYCH KRONIK

Fryzyczyk Ulryk Werdum opisuje polskie drewniane narzędzia rolnicze i wehikuly

W dzienniku (pierwszej) podróży Werduma (alias Verduma) po Polsce znajdujemy pod datą 5 stycznia 1671 r. ogólną charakterystykę ludności polskiej. M. in. czytamy tam o naszych przodkach: „drzewa zaś... używają do wszystkiego... W ich pługach, wozach, sankach nie ma nic prócz drzewa, a brony robią wiążąc na krzyż okrągłe (tj. obłe, K. M.) patyki wiciami ze sobą, tam zaś, gdzie się patyki krzyżują, przytwierdzają zgrabnie drewniane zęby za pomocą kręconych wici“<sup>1</sup> Ten opis bron jest tak dokładny, że na jego podstawie możemy w sposób zupełnie pewny określić ich typ jako tzw. laskowy<sup>2</sup>. Pierw-

sza podróż Werduma przebiegała jednak tylko przez Polskę północną, część środkową i południowo-wschodnią; bystrą swą obserwacją błędnie więc uogólnił, bo oto od współczesnego mu Jakuba Haura dowiadujemy się, iż „w tym... na Mazowszu jest w bronach differentia, że tam w nich są drewniane gwoździe, a w Województwie Krakowskim z żelaznymi włóczą, choć na Mazowszu jest dość żelaznych Kuźnic“<sup>3</sup>

<sup>1</sup> Tłumaczenie polskie dziennika X. Liske, „Cudzoziemcy w Polsce“, r. 1876, str. 96.

<sup>2</sup> Zob. moją „Kulturę ludową Słowian“, cz. I, str. 182 nn.

<sup>3</sup> „Skład albo Skarbiec znakomitych Sekretów Oekonomicy Ziemiańskiej“, wyd. 3, r. 1693 (według noty bibliotekarza Bibl. Jagiell., gdyż karty tytułowej brak), str. 29.

Poziom uprawy roli w Polsce  
XVII i XVIII w.

Już poznany przez nas Werdum wcale nie wyraża się źle o uprawie ziemi przez Polaków; przeciwnie, pisze, iż „w rolnictwie są dość uważni i umieją grunt bardzo dobrze żorać prostymi brudami na małe zagony; potem spinają dwie brony końcami ze sobą, które zajmują całą szerokość zagona, a każda z nich pochyła się ku brudzie; do każdej zaprzęgają po jednym koniu, który brudzą kroczy, tak że po ornej ziemi ani człowiek, ani zwierzę nie stąpa i siewca także brudzą kroczy.“<sup>1</sup> Nie tylko dokładność opisu, lecz i pozytywność oceny jest tu dla każdego widoczna. A owa pozytywność — to nie byle jaka pochwała, skoro daje ją człowiek światły, uniwersytecko wykształcony, ziemianin rodem i do tego pochodzący z kraju bezpośrednio sąsiadującego z Niderlandami, gdzie rolnictwo osiągnęło w XVI i XVII w. najbardziej szczytowy poziom w Europie.

Opinia Werduma znajduje potwierdzenie także w odniesieniu do wieku XVIII. A dał je Szwed, Georg Silen, który jesienią 1757 r. przemierzył

ówczesną Polskę od jej północnych krańców do południowo-wschodnich. Jego świadectwo jest tak zajmujące, że warto by je całe przytoczyć. Ze względu jednak na obszerność tego sprawozdania oraz na charakter „Ziemi“ ograniczę się tylko do zacytowania dwu najbardziej wymownych zdań, pomijając pełne słów uznania opisy techniki uprawy. „Miałem przyjemność — wyznaje Silen, myśląc o orce kolejnymi pługami zaprzęganymi w woły — widzieć w Polsce... jak szybko odbywa się orka na opisany powyżej sposób; ludzie i bydła znajdują się, by tak powiedzieć, w pełnym ruchu“<sup>2</sup> A nieco niżej dodaje: „Z zachwytem patrzy się jesienią lub w zimie na polskie uprawne pola; pola te wyglądają jak długie, niezliczone ogrodowe grzędy“<sup>3</sup>

Kazimierz Moszyński

<sup>1</sup> Liske, l. c.

<sup>2</sup> „Bericht von der polnischen Art den Acker zu bauen“. „Der Königlichen Schwedischen Akademie der Wissenschaften Abhandlungen aus der Naturlehre etc. auf das Jahr 1759“, t. XXI (tłum. ze szwedzkiego), Hamburg i Lipsk, r. 1762, str. 297.

<sup>3</sup> Tamże, str. 228.

# PRZEDPROŻE GDAŃSKIE

Mieczysław Wallis

Przedproże kamienicy patrycjuszowskiej — rodzaj ganku przed domem, wzniesionego o kilka stopni nad poziom chodnika i odgradzonego od niego niskim murem — było przed wojną jednym z najbardziej rzucających się w oczy rysów starych ulic gdańskich, biegnących ku Motławie. W miarę odbudowy Gdańska coraz więcej przedproży odzyskuje też swój dawny wygląd.

Przedproże służyło do zaspokojenia dwóch głębokich potrzeb ludzkich: potrzeby patrzenia, przypatrywania się, gapienia, w danym przypadku przyglądania się temu barwnemu, migotliwemu, fascynującemu widowisku, jakim jest w mieście ruch uliczny, oraz potrzeby ukazywania siebie innym ludziom, wystawiania siebie na pokaz, narzucania, chociażby na krótką chwilę, in-

nym swej powierzchowności i swej osoby. Pozwalało wyżyć się dwóm potężnym popędom ludzkim — ciekawości i próżności.

Pod pewnymi względami przedproże przypominało balkon, pod innymi — „taras“ kawiarni. Rozwińmy to szerzej.

Balkon, podobnie jak przedpokój, jest częścią mieszkania, która znajduje się na pograniczu dwóch sfer — prywatnej i publicznej. Jest on nadto tą częścią mieszkania, która wdziera się w przestrzeń otaczającą jak przyładek w morze.

Balkon stanowi dalszy ciąg i uzupełnienie mieszkania. W zależności od potrzeb i pory roku jest składem, lodownią lub ogródkiem. Latem służy nieraz za miejsce odpoczynku i wytchnienia, jako namiastka letniska dla tych, którzy nie mogą wyjechać z miasta.

Przede wszystkim jednak balkon służy, podobnie jak okna, a w jeszcze większej od nich mierze, kontaktowi wzrokowemu i często również słownemu ze światem otaczającym.

Gdy balkon znajduje się bardzo wysoko, nie widzi się z niego tych, którzy są na dole, i nie jest się przez nich widzianym. Natomiast z takiego balkonu roztacza się nieraz rozległy i wspaniały widok na miasto w dole, na szczyty i dachy domów. Gdy balkon znajduje się na średniej wysokości, osoby znajdujące się na nim są wyraźnie widoczne, a przy tym górują nad otoczeniem, zdają się unosić wysoko, jakby w jakiejś apoteozie, nad ciżbą ludzką. Na tak umieszczonych balkonach swych pałaców monarchowie ukazywali się dawniej w chwilach niezwykłych swym poddanym.

Gdy wreszcie balkon znajduje się nisko, można z niego „przyrzec się innym i pokazać siebie“, to znaczy zaspokoić owe dwie głębokie potrzeby ludzkie, o których mowa. Można je przy tym zaspokoić nie ruszając się z domu, a więc za pomocą najmniejszego wysiłku. Dlatego leniwe kobiety Południa tak lubią przeziadywać na balkonie. Tak malowali je Goya, Manet, Zuloaga.

Balkon tego rodzaju ma coś z łoża teatralnej — która również spełnia oba wspomniane zadania — i staje się niekiedy łożem teatralną w stosunku do sceny-ulicy, np. w czasie jakiegoś uroczystego pochodu, pogrzebu wybitnej osobistości lub defilady.

Tak jak balkon jest częścią mieszkania, wdzierającą się w przestrzeń otaczającą, podobnie „taras“ — rząd lub kilka rzędów stolików, zwykle nie odgradzonych niczym od reszty chodnika — jest częścią kawiarni, która wyległa na ulicę.

Przedproże gdańskiej kamienicy patrycjuszowskiej, nisko umieszczony balkon, taras kawiarni: wszystkie one służą do zaspokojenia potrzeby przyglądania się innym, pokazania siebie innym. Podobnie przy tym jak balkon, przedproże jest inwazją w przestrzeń otaczającą; podobnie jak taras kawiarni — wyjściem na ulicę. Ale między przedprożem a nisko umieszczonym balkonem i tarasem kawiarni zachodzą również doniosłe różnice.

Osoby przebywające na balkonie patrzą z „góry“ na ludzi znajdujących się na ulicy. Osoby na tarasie kawiarni i osoby na chodniku są na tym samym poziomie i obcuja ze sobą na równej stopie. Osoby, przebywające na przedprożu, wzniesionym kilka stopni nad poziomem ulicy, znajdowały się jakby na estradzie lub podium. Dawało im to przewagę nad ludźmi na ulicy, ale nie oddzielało od nich w sposób tak zasadniczy i nieubłagany jak wysokość, na której znajduje się balkon. Balkon jest arystokratyczny, taras kawiarni — demokratyczny. Przedproże — twór zamożnego patrycjatu gdańskiego — stanowi coś pośredniego.

Między osobami przebywającymi na balkonie, nawet na balkonie pierwszego piętra, a osobami znajdującymi się na dole nie ma zwykle wymiany bezpośredniej (chyba dzięki zastosowaniu jakichś środków pomocniczych, np. drabiny). Balkon łączy się z resztą mieszkania, ale kontakt między osobami na balkonie a



↑ Gdańsk, widok portu (wg sztychu Deischa z r. 1765). Po lewej stronie Zielona Brama



→ Ulica Długa w Gdańsku wg rys. Daniela Chodowieckiego z r. 1773

C. d. na stronie 30

Igol Trybowski

osobami pod balkonem dokonuje się zwykle za pomocą spojrzeń i słów. Między publicznością na tarasie kawiarni a tłumem przechodniów nie ma żadnej różnicy poziomu i żadnej przegrody: ani fizycznej, ani społecznej. Wymiana w obu kierunkach odbywa się swobodnie. Raz po raz ktoś z gości kawiarnianych mieszczą się z tłumem przechodniów lub ktoś z przechodniów zasiada przy którymś stoliku. Przedproże łączyło się za pomocą kilku stopni z ulicą. Każdy mógł w dowolnej chwili zejść z przedproża na ulicę. Ale nie każdy był upoważniony do wejścia z ulicy na przedproże. Poza członkami bliższej i dalszej rodziny i niektórymi domownikami mieli tutaj wstęp tylko zaproszeni goście.

Dotykamy tutaj pewnej różnicy zasadniczej między przedprożem a tarasem kawiarni. Publiczność zasiadająca na tarasie jest tłumem, gromadą ludzi, z których większość jest sobie wzajem obca i jedynie przypadkowo znajduje się obok siebie. Tłum ten zmienia się nieustannie, z godziny na godzinę. Natomiast grono ludzi, przebywające na przedprożu, to najpierw rodzina patrycjusza, właściciela kamienicy, zwykle złożona z przedstawicieli kilku pokoleń, następnie mieszkający wraz z nią bliżsi i dalsi krewni i powinowaci, domownicy, korzystający z praw towarzyskich, wreszcie zaproszeni goście. Stosunkowo stały trzon tego zespołu stanowiła grupa osób, związanych ze sobą węzłami pokrewieństwa i powinowactwa i ściśle zhierarchizowanych.

Niewielki rozstęp między przeciwnymi domami i brak ruchu kołowego czyniły z ulic gdańskich, biegnących ku Moltawie, „salony pod gołym niebem“, wytworzyły ów szczególny nastrój, cechujący ulice tego rodzaju. Przychodzą tu na myśl zwłaszcza zaułki weneckie lub Calle de las Sierpes w Sewilli, nastrój, na który składa się poczucie bezpieczeństwa, zacisza i zwolnione tempo życia.

Przedproże gdańskiej kamienicy patrycjuszowskiej było odgródzone od ulicy przedpiersiem — niskim murem kamiennym. Murek ten zdobiły płaskorzeźby, na których widniały postacie alegoryczne, medaliony z głowami ludzkimi, ornamenty rokokowe o kapryśnych roztańczonych liniach, inicjały, daty. Po obu stronach stopni wiodących na przed-

Osobliwością okolic Olsztynka jest usytuowane na północny zachód od miasta muzeum etnograficzne typu skansenowskiego. Ideę tego rodzaju muzeów poddyktowała potrzeba ratowania i zachowania cennych zabytków, przede wszystkim wiejskiego budownictwa drewnianego. Wcielił ją w życie szwedzki etnograf, Artur Hazelius, organizując pod koniec XIX wieku pierwszy „skansen“ w Sztokholmie. To muzeum nieznanego dotąd rodzaju stało się przykładem szerokiej i skutecznej akcji ochrony drewnianych zabytków architektonicznych. Muzea etnograficzne pod gołym niebem, przyjmujące na ogół za zasadę przewodnią typ regionalny, gęstą siecią objęły przede wszystkim Skandynawię, ale rozpowszechniły się także szeroko i w innych krajach.

Założenie organizacyjne muzeum skansenowskiego — w Olsztynku jest dość specyficzne. Nie gromadzi ono bowiem najcenniejszych oryginalnych zabytków regionu, których przeniesienie tutaj było ostatecznością w obronie przed zagładą, lecz jest zespołem kilkunastu kopii przykładów budownictwa drewnianego, przeważnie z XVIII wieku z terenu Prus historycznych.

W eklektycznym krajobrazie tej sztucznej wsi oglądamy zgrabny ośmioboczny kościółek kryty strzechą z trzciny. Jest to kopia zabytku po dziś dzień znajdującego się w Rychnowie (pow. ostródzki), kopia nie tylko idealna, lecz nawet idealizująca, zwłaszcza jeśli chodzi o polichromię wnętrza, przechodząca oryginał. Wśród sprzętów — kopii stoi autentyczny późnorenansowy ołtarz z 1662 r. przeniesiony z Wielkiego Rosińska (okręg Królewca). Wolnostojąca wieża przy kościółku powtarza kształt wieży przy kościele w Mańkach (pow.

ostródzki) zbudowanej w 1685 r. przez cieślę Hansa Weicherta. Szczególniejszą uwagę przykuwa karczma wzorowana na oryginalnej z okolic Pasłęka. Jej konstrukcja szachulcowa, czyli tzw. pruski mur, w ścianach szczytowych — ciemne ciesie ułożone w geometryczny deseń i biały mur wypełniający przestrzeń między nimi — wywołuje efekt malowniczości i udanej dekoracyjności. Od frontu wznosi się wystawka z pięterkiem wspartym na słupach z wycinanymi ozdobnie zastrzałami. W muzeum znajduje się jeszcze zagroda gospodarstwa z Pempen (okolice Klajpedy), składająca się z rozległej chałupy, stodoły — stajni i bogato dekorowanego spichlerza. Osobno stoi zgrabna

stodoła i kuźnia (prototyp z okolic Pasłęka), która przez podcięcie od frontu wsparte na czterech drewnianych kolumnach przywołuje na myśl styl klasycystyczny. Na podmokłej łące wznoszą się dwie, zbudowane na palach, klety rybackie z okolic nadmorskich (nb. najmniej udane przykłady w muzeum), a na górcie, w pewnym oddaleniu od innych zabudowań, ustawiono olbrzymi wiatrak (wzór z okolic Królewca). Przy drodze z miasta, u wejścia na teren muzeum stoi chałupa (oryginał w Bartązku Wielkim w pow. morąskim). Może najkorzystniejsze pozytywne wrażenie, jakie wywołuje ta budowa spośród wszystkich innych, wynika z faktu, że tylko ona w całym



proże wznosiły się zaś rzeźbione słupki kamienne lub wielkie granitowe kule. Podobnie jak fasada gdańskiej kamienicy mieszczanńskiej — bogato rozczłonkowana i zdobiona, suto polichromowana i złocona, przedproże miało charakter reprezentacyjny. Było wyrazem dumy, jeśli nie pychy, patrycjusza gdańskiego —

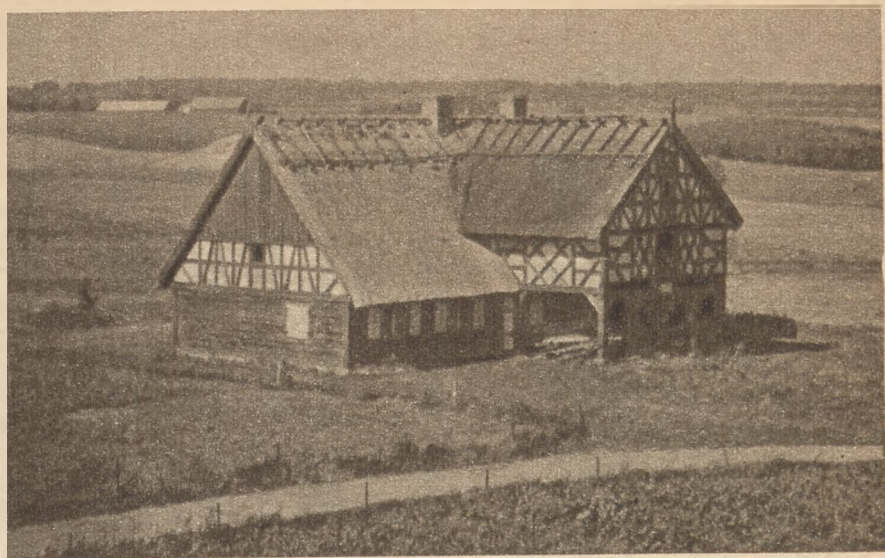
zamożnego kupca zbożowego lub drzewnego — z posiadanego przezeń bogactwa, dawności rodu, stanowiska społecznego i towarzyskiego w mieście.

Mieszczanin gdański XVII i XVIII wieku nie ukrywał swej zamożności. Przeciwnie, wystawiał ją na pokaz. Pragnął zaimponować innym swym bogac-

twem. Na jednym z portali gdańskich czytamy napis:

Skoro tak się podoba Bogu,  
Lepiej wzbudzać zazdrość niż  
pożałowanie.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> SO. ES GOTT BEHAGT BESSER BENEIDET ALS BEKLAGT: napis na portalu kamienicy nr 36 przy ulicy Mariackiej.

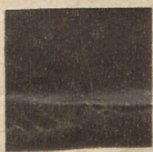


zespołe muzealnym jest zagospodarowana i służy wprost życiu. Mieszka w niej dozorca skansenu. Wszystkie inne budynki świecą pustką. Przed wojną mieściły się w nich ludowe warsztaty artystyczno-rękodzielnicze.

Koncepcja opisanego pokrótce muzeum budzi pewne zastrzeżenia. Przede wszystkim dlatego, że gromadząc dość chaotycznie przykłady z szerszego obszaru geograficznego nie daje jednolitego typowego obrazu budownictwa pod względem etnograficzno-regionalnym. Poszczególne obiekty są nadto reprezentowane przez kopie czy modele (inna rzecz, że doskonale wykonane!) autentycznych budowli. Osłabia

wi zespół malowniczy, a poszczególne zgromadzone w nim obiekty muszą budzić zainteresowanie — jest organizmem martwym.

Dotychczas nie podjęto żadnej konkretnej decyzji zapewniającej rację bytu i rozwój tego muzeum. Skromne subwencje wojewódzkiego konserwatora zabytków w Olsztynie zdolne są co najwyżej pokryć doraźne potrzeby konserwatorskie budynków, gdy tymczasem dziesiątki, ba, setki oryginalnych, typowych i pięknych przykładów drewnianego budownictwa naturalną rzeczą kolejną bezpowrotnie ginie z krajobrazu wsi mazurskich i warmińskich! Tragicznie przedstawia się przede wszystkim stan i los cha-



↑ Kopia olbrzymiego wiatraku, który znajdował się niegdyś w okolicach Królewca

↑ Karczma wzorowana na oryginale z okolic Pasłęka z charakterystyczną wystawką z pięterkiem

→ Przykład budownictwa litewskiego — stodoła zagrody wiejskiej z okolic Klajpedy

→ Kopia ośmiobocznego kościółka znajdującego się do dziś w Rychnowie w powiecie Ostródzkim

↓ Przykład budownictwa szachnicowego, belki konstrukcyjne stanowią tu elementy zdobnicze



to ich wartość historyczno-kulturalną i estetyczną; przede wszystkim zaś założenie to koliduje z postulatem muzeum skansenowskiego jako formy ochrony zabytków, których pozostawienie w rodzimym środowisku ze względu na niebezpieczeństwo zniszczenia jest niemożliwe. Muzeum etnograficzne na wolnym powietrzu pod Olsztynkiem, przejęte przez nas w spadku z dobrodziejstwem inwentarza w 1945 r. — mimo że w swej obecnej postaci stano-

łup nie zamieszkałych, trawionych przez wpływy atmosferyczne, grzyb, no i niszczone przez ludzi... Wśród lasów i nad jeziorami, w wielu pięknie położonych wsiach mazurskich, w na pół rozwalonych chałupach rozsypują się niezmiernie cenne piece kaflowe o barwnej dekoracji figuralnej... Stan rozległego budynku mieszkalnego w Ostrowie

Dokończenie na str. 32



# MIASTO ZALEWO I JEGO ZABYTKI

Marian Kornecki



Bogato ozdobiona, z podziałami z zatynkowanych blend i pasów, wieża kościelna dominuje nad miastem i okolicą.

Do imponującego rozmiarami wnętrza prowadzi ostrołukowy portal. Schody pomiędzy kondygnacjami ukryto częściowo wewnątrz grubych murów.

Ze szczytu roztacza się daleki widok na Zalewo, stare miasteczko po jeziora morąskiego. Ku wschodowi, u stóp wieży korpus kościoła nakryty stromym dachem siodłowym. Wokół rozciągają się gruzowiska dawnego miasta. Ku zachodowi, nieco niżej, tętniące życiem dawne przedmieście, założone według wzmianek już w r. 1592, z bielejącymi tu i ówdzie ostatnimi szachulcowymi budynkami gospodarczymi. Na dalszym planie szeroka tafla jeziora Ewingi, marszcząca się za podmuchem wiatru i mieniąca promieniami słońca. Na horyzoncie, ku południowi, dostrzec można wieżę kościoła gotyckiego z XIV wieku w Dobrzykach; ku zachodowi wije się wstęga szosy do niedalekiego Przemarku, gdzie na półwyspie wśród jeziora wznoszą się ruiny zamku krzyżackiego z XIV wieku.

Historia miasta sięga końca XIII wieku, gdy Zalewo, założone przez komturę krzyżackiego, uzyskało lokację na prawie miejskim chełmińskim między r. 1299—1305. W XIV wieku podjęto budowę fortyfikacji; w początku XV wieku otoczone było silnym murem obronnym. Szachownica ulic skupiała się wokół czworobocznego rynku, przy którym do połowy w. XIX istniał ratusz, wzniesiony w r. 1374. Najważniejsze arterie komunikacyjne, prowadzące ze wschodu



ku zachodowi, zbiegały się w punktach zamkniętych pierwotnie bramami miejskimi: Morąską od wschodu i Pasłęcką od zachodu, zniszonymi w XIX wieku. Mury obronne, których bieg łatwo dziś wysledzić, zachowały się w kilku fragmentach; w zachodniej części miasta przetrwała do dziś masywna ceglana czworoboczna baszta, w dolnej partii muru jeszcze XIV-wieczna, górą później nadbudowana, zwieńczona dachem czterospadowym.

Ale najważniejszym zabytkiem Zalewa jest kościół pod wezwaniem św. Jana, dawnego patrona miasta. Najdawniejsze pieczęcie i herb miasta zawierały przedstawienie sceny męczeństwa tego świętego. Kościół, odrestaurowany po zniszczeniach wo-

jennych, zachował się stosunkowo dobrze i stanowi jeden z cenniejszych zabytków budownictwa gotyckiego tego regionu. Budowę rozpoczęto w r. 1335, ukończono w 1351. Wyniosłą wieżę ukończono w 1407 r. Dalsza rozbudowa kościoła przyniosła wzniesienie w r. 1559 kaplicy, zwanej „kościółem polskim“, która nie zachowała się jednak do obecnych czasów. Budynek zbudowany z cegły na cokole kamiennym, oszarpowany, odznacza się staranną fakturą murów, dekorowanych miejscami wzorami geometrycznymi z przepalonych cegieł — zendrówek.

Obszerne, jednonawowe wnętrze kościoła przynosi nieco zawodu; brak sklepień psuje wyczekiwaną harmonię architektury. Zachowało się jednak kilka interesujących szczegółów: portal ostrołukowy z formowaną arkadą nad emporą w ścianie północnej, obramiona subtelną renesansową dekoracją malarską. Z urządzenia zachowało się kilka interesujących przedmiotów; bodaj najciekawsze są cztery wielkie gotyckie lichtarze brązowe z XIV wieku, z figurkami lwów u podstaw, cenne zabytki przemysłu artystycznego.

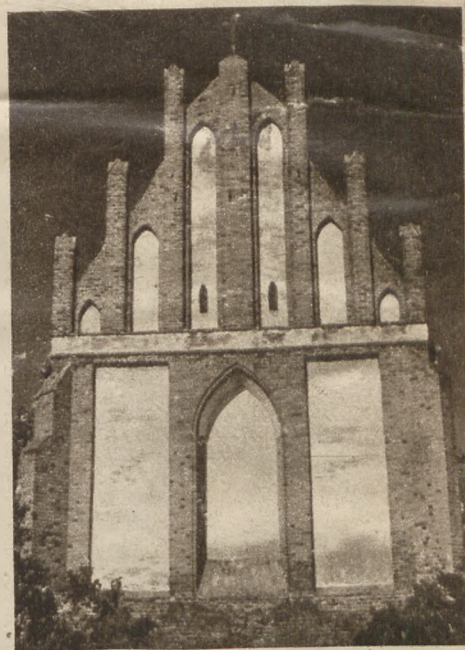
Zalewa nie oszczędzały ani wojny, ani pożary, głównie w latach 1408, 1414 i w wieku XVII. W czasie ostatniej wojny uległo miasto ogromnemu zniszczeniu. Ofiarą płomieni padły domy w rynku i ulicach: pierwotne gotyckie, a także wzniesione na ich murach i placach renesansowe, barokowe i klasycystyczne, znane z nielicznej zresztą ikonografii. Zostało to, co było najdawniejsze: pierwotne założenie urbanistyczne.

▲ Fragment gotyckiego lichtarza z XIV wieku

← Widok szkarpy miejskiej z wieżą kościoła parafialnego w Zalewie

← Widok Zalewa według ryciny z drugiej połowy XVII wieku

↓ Szczyt kościoła parafialnego w Zalewie



## SKANSEN NA MAZURACH

Wielkim (pow. ostródzki), z charakterystycznym podcieniem pod wystawką wspartą na rzeźbionych słupach — choć zamieszkałego — również nie napawa optymizmem. Przykładów — bez liku! Wydaje się, że czas najwyższy rozstrzygnąć o losie budownictwa

i w ogóle sztuki ludowej tego tak bardzo zasługującego na bliższą uwagę regionu! Względy życiowe z góry przesądzą o tym, że większości zabytków nie da się utrzymać przy życiu. Toteż należy czym prędzej podjąć systematyczne badania nad sztuką ludową regionu mazursko-warمیńskiego. Są one nieodzownym etapem w akcji racjonalnej ochrony najcenniejszych przykładów

twórczości ludowej. Do tego celu można by zużytkować istniejące już muzeum skansenowskie pod Olsztynkiem, przenosząc doń — przy odpowiednim doborze — zagrożone obiekty. W tym widzę przyszłość skansenu pod Olsztynkiem — zorganizowanego jako osiedle o charakterze regionalnym, reprezentowane przez najlepsze przykłady twórczości rodzimej.

Równocześnie zarysowuje się niezmiernie ważny problem znalezienia odpowiedniego użytkowania obiektów muzealnych. Decyzję w tym zakresie należałoby jak najrychlej podjąć, aby zespół w Olsztynku nabrał wreszcie rumieńców życia i służył pożytecznie kulturze i zwiedzającym.

Igol Trybowski